



Foto: R. Łucyszyn
ADAM JASKIEWICZ „Najwyższy czas, żeby starsi zadedykowali do jakich zadań dorosliśmy, jak można nas traktować”.

**ADAM JASKIEWICZ, uczeń II klasy,
IV Liceum Ogólnokształcącego
im. E. Szczyńskiego**

- Czy lubisz swoją szkołę?
- Zdecydowanie nie.
- Dlaczego?
- Bo źle się w niej czuję.
- Co na to wpływa: atmosfera, nauczyciele, koledzy, sposób nauczania?
- Wszystko razem. A pani by się dobrze czuła, gdyby chodziła do szkoły ciągle zmęczona, niewyspana, wystraszona i siedziała w szkole 6-7 godzin, czekając na wyrwanie do tablicy?
- Pewnie nie. A ile godzin przeciętnie się uczysz?
- W szkole przebywam — nie mówię, że się tam uczę, ale przebywam

Dalszy ciąg na str. 8

uczeń szkoła nauc- czy- ciel



Foto: R. Łucyszyn
ELŻBIETA KOLWIŃSKA: „Szkoła nie tyle tłumy myślenie, co nie stwarza okazji do myślenia”.

**Mgr ELŻBIETA KOLWIŃSKA,
nauczycielka języka angielskiego
w Zespole Szkół Elektronicznych**

- Czy pani lubi szkołę?
- Bardzo. Ale dopiero od niedawna. Odkąd zaczęłam w niej pracować.
- Jako uczennica nie cierpiałam szkoły.
- Odczucia Adama nie są więc tak odosobnione.
- Przeciwnie. Uważam je za typowe. Nic się w tym względzie od lat nie zmieniło.
- Dlaczego więc pani lubi szkołę?
- Lubię być wśród ludzi, a więc i młodzieży, i lubię uczyć.
- Czy studia na filologii angielskiej przygotowały panią do roli nauczycielki?

Dalszy ciąg na str. 8

POLMO 203 dni później

BOGDA
MADEJ

Samorząd pracowniczy jest dziś najbardziej dyskutowanym problemem. Spór ten budzi namietność, różnicuje stanowiska. Głos zabierają teoretycy,

naukowcy, politycy. A jak sprawa wygląda w fabryce, tam, gdzie teoretyczne założenia stają się praktyką codzienną?

W Fabryce Osprzętu Samochodowego „POLMO” w Łodzi, Tymczasowa Rada Pracownicza powstała 26 stycznia 1981 roku. W 3 dni później podjęła uchwałę o przyjęciu planu produkcji na 1981 roku oraz uchwaliła wotum zaufania dla dyrektora dr inż. S. Ostrowskiego. W lutym złożyłam wizytę w FOS „POLMO” i przysłuchiwałam się dyskusji nad przyszłością, założeniami i zadaniami rady pracowniczej. Dyskusję tę przedstawiłam Czytelnikom w numerze „Odgłosów” z 22 lutego 1981 roku.

Tymczasowa Rada Pracownicza w FOS „POLMO” była jedną z pierwszych w Łodzi. Jej, choć jeszcze niewielkie, doświadczenia miały wpływ na rozwój samorządu w innych przedsiębiorstwach w Łodzi i nie tylko.

O czym wówczas dyskutowano w FOS „POLMO”?

— Zastanawiano się, czy Rada Pracownicza ma składać się z przedstawicieli organizacji działających w fabryce, wybranych przez te organizacje w wyborach tajnych, czy też z delegatów załogi wybranych według zasady — jeden delegat na 50 pracowników, również w sposób tajny.

— Zastanawiano się, czy członkowie administracji fabryki mają wchodzić w skład Rady Pracowniczej jako jej pełnoprawni członkowie, czy też jedynie jako doradcy. Administracja — argumentowano — stanowi organ wykonawczy, musi być przez samorząd kontrolowana, nie mogą więc jej przedstawiciele wchodzić jednocześnie do organu samorządowego. Ale — z drugiej strony, mówili oponenci — każdy członek załogi, pracownicy administracji

Dalszy ciąg na str. 4

Tadeusz J. Żółciński

NIEUSTAJĄCA LEKCJA HISTORII

To prawda, że przepadła u nas i to z kretesem epistolografia wyrosła z dziewiętnastowiecznej tradycji. Mało już kto pisze obecnie sążniste listy układające się w swoiste pamiętniki, w oparciu o które można by z drobiazgową dokładnością odtwarzać życie codzienne Polaków ostatnich lat. I nie chciałbym się tu wdawać w dywagacje, jakie czynniki złożyły się na śmierć tego akurat gatunku literackiego (jako że listy z całą pewnością są taką samą literaturą jak powieść czy esej), i czy istnieją jakiegokolwiek szanse powrotu do dawnej epistolografii. Nie oznacza to bowiem aby epistolografia w ogóle przestała istnieć.

Przeciwnie, szczególnie w ostatnim okresie rozkwitła ona jeszcze bardziej,

tyle tylko, że zmieniła swój charakter, przenosząc się ze sfery intymnej w sferę informacyjno-publiczną. A jej adresatami stały się bardziej instytucje i osoby publiczne, a nie jak to było w zwyczaju — najbliżsi, bądź krąg przyjaciół. Mało tego, dziś rzadko już pisze się listy bezinteresownie, z czysto psychicznej potrzeby dzielenia się swoimi troskami bądź radościami z kimś drugim, który na zasadzie wzajemności będzie dokonywać tego samego w stosunku do piszącego. Może dlatego, że dziś tak naprawdę coraz mniej czasu mamy na życie prawdziwie intymne, coraz bardziej

wciągani jesteśmy i to niestety z krzywdą dla nas samych, w życie społeczne ogółu, co powoduje, iż coraz bardziej odczuwamy całą anonimowość istnienia jednostki w społeczeństwie. Wynika to z faktu, iż w wieku dwudziestym wielkomiejskie życie społeczne zdominowało jednostkę decydując o jej indywidualnych sukcesach bądź klęskach, coraz bardziej też ograniczając całą intymną sferę przeżyć i doznań. Coraz bardziej los jednostki uzależniony jest nie od jej indywidualnych predyspozycji, zdolności czy umiejętności życia, ale od całokształtu czynników zewnętrznych, które bądź

wyzwalają, bądź całkowicie niszczą wspomniane tu predyspozycje.

Ale stąd może coraz bardziej wierzymy w interwencyjny charakter epistolografii, w jej czysto doraźny utylizm, a równocześnie przeświadczeni jesteśmy, iż poprzez listy publiczne jesteśmy w stanie najpełniej wyrazić swoją aprobatę względnie dezaprobatę dla konkretnych poczynań publicznych lub zjawisk życia społeczno-politycznego. Stąd też nie-

Dalszy ciąg na str. 10

Jerzy Wawrzak nie było wakacji tego lata

W jednej z zachodnich gazet ukazał się następujący dowcip rysunkowy. Kilku facetów siedzi nad brzegiem jeziora i czyta gazety z wielkimi tytułami doniesień z Polski. Z wody wynurza się zapłakany potwór do którego jeden z nich mówi: „Nie płacz, Nessie, za rok wszyscy znów będą pisać o tobie.”

Nie było sezonu ogórkowego, a w okresie tradycyjnej letniej kanikuli tętno życia politycznego nie osłabło nawet przez jeden weekend. Chciałoby się dodać: „niestety”, ale logika rozwoju sytuacji jest taka jakiej doświadczaliśmy i nikt nie miał złudzeń, że opatrność zatunduje nam wakacje od polityki. A mimo to wielu ludzi (sam się do nich zaliczam) uważało, że wcześniejsze, pomysłne prognozy pogody wreszcie się spełnia, że trochę odetchniemy od żywiołowych konfliktów i stopniowo dominować zacznie duch partnerstwa i planowej, rzeczowej współpracy.

Czy takie rozumowanie było tylko politycznie naiwne, czy nie było dość przesadek i faktów, żeby tak sądzić? Spróbujmy odpowiedzieć na to pytanie, by na przyszłą mapę pogody namieść odpowiednie poprawki.

Takim najważniejszym faktem, podstawą wszelkich ocen dotyczących naszej rzeczywistości i jakiegokolwiek prognozowania może być tylko zjazd partii. Zjazd nie tylko z nazwy historyczny, odnowicielski dla samej partii, ale potwierdzający najważniejsze, że tylko na czeluściach partii można myśleć o lepszej przyszłości dla naszego kraju, że przede wszystkim partia jest główną i podstawową (choć nie jedyną) siłą socjalistycznej odnowy. Kto tego jeszcze nie rozumiał, musi zrozumieć. I czym prędzej to zrozumieć, tym lepiej, dla niego, dla środowiska w którym działa, dla nas wszystkich. Kto natomiast tej prawdy nie uznaje, kto ją z jakiegokolwiek powodów odrzuca, ten wystawia sobie żałosne świadectwo, swoiste polityczne warunki papieru.

Zjazd potwierdził linię porozumienia. Stanisław Kania, jeden z jej architektów i główny ordynator przez wiele trudnych miesięcy od pamiętnego VI Plenum KC, sprzeciwiał jej formułę, jako „linię porozumienia — linię walki politycznej” o pryncypia ustrojowe i ideowe partii i państwa. Realizacja tej strategii pozwala nam zarówno umacniać suwerenność i sojusznictwa wiarogodność, jak i szeroko otwiera możliwość takiego przemodelowania istniejącego systemu by — mówiąc najkrócej — szczytne ideały socjalizmu zaczęły się materializować.

Myślę, że za takim rozumieniem linii porozumienia opowiada się zdecydowana większość polskiego społeczeństwa. Dlatego więc, prawie po roku burzliwych dyskusji, napięć i konfrontacji, sytuacja nie uległa radykalnej zmianie; że nadal obłędnie krążymy w zakłętym kręgu i nie możemy go przerwać w sposób dający przynajmniej jakiś większy zastrzyk nadziei. Że i ruszymy z miejsca martwą bryłę gospodarki, i sytuacja polityczna zacznie przynajmniej przypominać normalną. Więc dlaczego jest jak jest?

Niektórzy mówią że diabeł jest w szczegółach. Na ogół w życiu w konkretnych przypadkach się to potwierdza. Ale kiedy nasze „szczegóły” odniesiemy do skali makro, jak np. sprawy reformy gospodarczej, to okaże się, że nie chodzi głównie o to jak rozwiązać to czy inne zagadnienie, ale o granice obszaru na którym podejmuje się przecież nie laboratoryjny, lecz społeczny eksperyment. Jeśli zaś te świadomością samoostrzeżenia się odrzuci, to z tym eksperymentem może być tak jak z daną operacją. Tylko, że pacjent jej nie przetrzyma.

Nie moje to ostrzeżenie, chociaż się pod nim podpisuję. Słów takich nikomu się łatwo nie wypowiada, dyktuje je poczucie odpowiedzialności za sprawy najważniejsze. Czy jednak zapadają one dostatecznie głęboko w społeczną świadomość? Śmiem wątpić! I to jest bardzo niepokojące, chociaż tłumaczę sobie to zjawisko i tym, że przez wiele ostatnich lat żyliśmy w świecie słów do ena zdewaluowanych, w jakiejś koszmarniej opozycji słów do ich właściwego znaczenia. I przez ten rok kiedy już przecież mówimy peł-

Dalszy ciąg na str. 2

nym głosem, własnymi słowami, nie mamy nadal do nich zaufania, dla wielu są nadal żonglerką dla odwrócenia uwagi od czynów. Do czego może doprowadzić ten wcale nie semantyczny dyalekt?

*

A więc nie było wakacji tego lata. Nawet ci, którzy wyjechali na urlop nie mieli szans na jakąś psychiczną regenerację, a oderwanie od własnego środowiska, co zwykle jest zbawiennym relaksem, stawało się wręcz dokuczliwe. Lato jedynie wynagrodziło słońcem i hojnością ziemi. Po raz pierwszy od lat, po dramatycznym przednówku, możemy z jakąś ufnością myśleć o elementarnym zaopatrzeniu naszych skór.

Sierpień spędziłem w niewielkiej zagubionej wśród lasów wsi w Sieradzkim. Ziemia tu kichutka, piata i przeważnie szóstą klasa. A plony bardzo dobre. Nikt mi tego nie umiał do końca wytłumaczyć. Na wiosnę sami przecież pisaliśmy o trudnościach z nasionami, nawozami itd. A mamy wyjątkowo dobry rok w rolnictwie — i jak słyhać — nie zostanie on zmarnowany. Gdyby jeszcze w najbliższych miesiącach udało się hasło „wszystko dla rolnictwa” zamienić chociaż w podstawowe dostawy, ograniczyć choćby, dotkliwą zmożę braku węgla.

A jak do tej pory działania te „wspierali” głównie protesty. Trzeba było mieć szczególnie wiele destrukcyjnej wyobraźni, żeby coś takiego wymyślić i zorganizować. Wystawiałem w tym czasie w kolejkach po chleb w sąsiednim miasteczku, ale dobre obyczaje, jakie staraliśmy się w naszym piśmie zaprowadzać, nie pozwałały mi przytoczyć tych głosów. Zresztą nastroje społeczne są nam wszystkim doskonale znane, a ich oceny dość zgodne. Natomiast namnożyło się interpretacji i o nich trzeba pomówić, narażając się nawet na najgorsze zarzuty.

Jakie więc było tegoroczne lato? Urodzajne na pewno. Także pracowite nie tylko dla wsi. Pracował Sejm i jego komisje, rząd i jego operatywne agendy, podjęto wiele konkretnych decyzji o znaczeniu społecznym i gospodarczym, została zastrzeżona walka ze spekulacją. Obradowało Plenum KC i kilkakrotnie zbierała się KKK „Solidarności”. Tygodnie intensywnych działań paraliżowały napięcia. Po raz pierwszy, niemal w rocznicę wydarzeń sierpniowych związkowcy wyprowadzili ludzi na ulice. Marsze głośne, zerwanie rozmów z rządem, wreszcie „dni bez prasy”.

Gdy piszę te słowa horyzont znów się przejaśnia. Może więc dać sobie spokój, nie rozdrapywać. Chciałoby się o tych dramatycznych „skrzyżowaniach” — jak pisałem w trzech kolejnych komentarzach wstępnych — jak najszybciej zapomnieć. Ale przynajmniej ta ostatnia sprawa. Środków masowego przekazu trwa nadal. Zresztą, jakiegokolwiek nie dotknąć by problemu, który jest przedmiotem sporu między władzami a „Solidarnością”, i tak trzeba odwołać się do spraw zasadniczych. A także, o czym się nieestetycznie często zapomina, uwzględnić kontekst czasowy, a przede wszystkim uwzględnić czasową cezurę jaką jest IX Nadzwyczajny Zjazd partii.

Z takim naciskiem zwracam uwagę na ten punkt odniesienia, bo przecież to samo zdarzenie z posierpniowej odmowy do zjazdu i po zjeździe może zupełnie inaczej się tłumaczyć, mieć całkiem różne skutki dla przyszłości. Organizowane w przeszłości protesty bardzo często, przynajmniej w sferze emocjonalnej, miały poparcie zarówno „Solidarności” jak i bazy partyjnej. Obawa przed zahamowaniem procesów odnowy, obronno-zachowawcza postawa wielu działaczy partyjnych, państwowych i gospodarczych skłaniała do takich postaw. Sami w redakcji takich wyborów doświadczaliśmy, kiedy np. przyszło nam atakować poglądy niektórych działaczy partyjnych, czy nawet decyzje instancji. Nasi oponenti zarzucali nam antypartyjność, co raczej upewniało nas, że idziemy słuszną drogą i że w ten sposób m.in. pomagamy partii w od-

przeobrażeniu i niemal dosłownie. Właśnie teraz! Jaki diabeł macha ogonem na tę czarną mszę? Miliony ludzi w Polsce muszą zadawać sobie to pytanie. I chyba nie znajduje odpowiedzi, bo jej nie widać w pozytywnym działaniu.

Może rozpoczynający się za kilka dni, „dwuturnowy” kongres „Solidarności”, wzorem nadzwyczajnego zjazdu PZPR przesądził za wszystko co dla spokoju społecznego, dla ratowania Polski musi zostać przesądzone. A przede wszystkim wykrystalizuje się jako „normalny” związek zawodowy, którego strategią jest nie cykliczna konfrontacja z władzami, ale twórcza współodpowiedzialność za podniesienie Polski z kolan i nadrobienie szans, które w tak hamiebnym sposobie zostały w ostatnim dziesięcioleciu zaprzepaszczone.

Ktoś powie: ale kto nas w tym

NIE BYŁO WAKACJI TEGO LATA

zyskiwaniu socjalistycznej tożsamości. W podobny sposób traktowaliśmy nowy związek zawodowy o działalności którego od pierwszych dni września ub. roku pisaliśmy szeroko, obiektywnie i z nadzieją, że w naszą socjalistyczną rzeczywistość zostało wbudowane konstytucyjne ogniwo, nowa trwała struktura (w której notabene znalazło miejsce kilkadziesiąt członków PZPR) będąca dodatkowym gwarantem przed nawrotem jakichkolwiek wypaczeń. Intuicja polityczna od razu podpowiedziała nam to, co tak klarownie i przekonująco sformułował i skreślił KC partii podczas niedawnego spotkania z zalogą „Cegielni” w Poznaniu, mówiąc o stosunkach partii do NSZZ „Solidarność”. Myśle, że inny pogląd zaprowadziłby już nieraz do tragedii. I odwrotnie, zjazdowe gwarancje dla linii porozumienia są czymś, co jeszcze kilkanaście miesięcy temu każdy z nas natwarzył utopią.

Dopracowaliśmy się więc wspólnym wysiłkiem intelektualnym i organizatorskim społeczeństwa oraz wolą polityczną partii, wywołanej do dogmatów ideologicznych pewnego ideału, czegoś co w przyszłości ma szansę stać się oryginalnym modelem polskiej drogi do socjalizmu. Fakt ten został przyjęty z uznaniem po obu stronach podzielnego świata, wsparty werbalną aprobatą i pomocą gospodarczą, zwłaszcza ze strony ZSRR, co tak dobitnie potwierdził komunikat ze spotkania na Krymie naszych przywódców z Leonidem Breżniewem. I byłoby bardzo pięknie, gdyby nasz ideał co rusz, z jakąś zatrważającą częstotliwością, nie siegał bruku. W

bagnie pograżył? I przytoczy setki faktów, zacierpiętych choćby z roczników naszego pisma. I doda jeszcze sakramentalne: ale rząd wszystko opóźnia, zwleka, blokuje, nie zgadza się, atakuje związek manipulując środkami masowego przekazu czy głodząc naród, nie potrafi sprawnie zorganizować reglamentacji, chce nam podwyżkami odebrać pieniądze a odwieka reformę gospodarczą itd. Tak może powiedzieć każdy i mieć w tym cząstkę swej prywatnej racji potwierdzonej autopsją. Tak mówią ludzie w uzasadnionej większości irytacji, zmęczeniu trudami elementarnej egzystencji, zmordowane codziennością kobiety i sfrustrowana młodzież. Takie jest wreszcie prawo niecierpliwych, zbyt długo u bezwłasnowolności, którzy chcą zrzucić swój garb i wyprostować plecy, którzy chcą już teraz żyć jak przystało na cywilizowany kraj.

Tłumiąc emocje trzeba się jednak taktemu rozumieniu naszej sytuacji przeciwstawić. Jest ono bowiem sprawiedliwe, ale niesłuszne, bo sprawiedliwie ocenia tylko przeszłość. A to jest zaledwie jeden z elementów potrzebnych dla zbudowania przyszłości. Trzeba nam bardzo dużo czegoś co jest jakby drugą stroną sprawiedliwego sądu, mianowicie zaufania i poświęcenia, jako ogromnego, najważniejszego kapitału, który będzie procentował w dłuższej perspektywie czasu.

Ktoś powie: znamy te słowa... No, cóż, nie mam innej odpowiedzi. Przypomnę tylko, że w przeszłości nie budowaliśmy zaufania, ale organizowaliśmy bezkrytyczną wiarę w słowa bez pokrycia; więcej nawet: w cyniczne kłamstwa. Odnowa jaka

się dokonała w partii, zmiany ogólne w sferze władzy dają przecież podstawy do narastania wzajemnego zaufania. Jako społeczeństwo powinniśmy owo zaufanie — i to czynnie — udokumentować, niezależnie od różnic politycznych, ideowych, światopoglądowych i każdych innych. Inaczej razem pójdziemy na dno.

Drugim słowem — kluczem, którego przed chwilą użyłem jest poświęcenie. Używam go świadomie, mimo iż to termin z publicystyce nieco żenujący. I jak dotąd z obu stron skwapliwie unikany w dyskusjach. Ale nie zmienia to faktu, że stoimy przed wyborem o zasadniczym znaczeniu: albo wychodzić z kryzysu przez 3—4, no powiedzmy, 5 lat, albo przez 10 lub dłużej. Stoimy przed alternatywą, która określi nasz poziom cywilizacyjny do końca wieku. Decyzja, według której będą nas oceniać nasze dzieci i wnuki, porównując to co po nas odziedziczyli z dziedzictwem innych nacji. Chodzi więc o skalę wyrzeczeń na najbliższe lata, od poniesienia których żaden cud nas nie uratuje. Już je ponosimy. Chodzi jednak o wyrzeczenia świadomie przyjęte, powiedzielibyśmy nieco paradoksalnie: zorganizowane, z gwarancjami ich „opłacalności”. Inna postawa będzie chowaniem głowy w piasek. Przeciwnie musimy wiedzieć i pamiętać, że w ostatnich latach co trzecia łyżka strawy była zjadana na kredyt, że z produkcją cofnęliśmy się o 5—8 lat, a z piacami jesteśmy w następnej pięciolatce.

Możliwość wyjścia z tej sytuacji na prostą bez zwojów narodowej, wzajemnego zaufania i świadomych samoochronek nie wydaje się możliwa. A przecież wyjść trzeba! Czyż przez niemożność pokonania własnych uprzedzeń mamy się pogryźć w stan chronicznego kryzysu, przed czym przestrzegał na zjeździe Mieczysław F. Rakowski. Presja dalszych zadań, stałe zakładanie związkowego veta nie daje rządowi nawet szansy żeby swoje programy — przecież nie wymyślone za ministerialnymi biurkami, a stworzone przy szerokiej konsultacji społecznej — urealnili. Diabeł jest w szczegółach, ale widzenie każdej sprawy oddzielnie, szarpanina o każdy detal, nie pomnaża całosci. Nikt przecież przy zdrowych zmysłach nie może twierdzić, że jakikolwiek program działania nie musi być poddawany korektom, jakie niosą będzie życie. A więc wszystko można i trzeba dopracować uwzględniając czynnik czasu. Udałoby się wreszcie chętnie, jeśli będziemy chcieli wszystko na raz i bez wątpliwości, jeśli racji nie podporządkujemy możliwościom. Lech Wałęsa często powtarzał w przeszłości, że najpierw jest Polska a potem związkowiec. Niestety, wielu przywódców regionalnych i w samej centrali związkowej w praktycznym działaniu nie honoruje tej zasady. Niestety, takie są fakty. Wystarczy przeczytać stenogram z posiedzenia KKK opublikowany w „Twódniku Solidarności” przejrzyć związkowe pisma i powieć w setkach tysięcy egzemplarzy. Bardzo niebezpieczne to postawy także dla samego związku, z którym miliony Polaków łączą tak wielką nadzieję.

JERZY WAWRZAK

31.VIII.1981 r.

NAUKA I PROBLEMY SPOŁECZNE KRAJU

Socjologia polska wobec problemów społecznych kraju — to główne hasło obrad rozpoczynającego się 9 września w Łodzi VI Zjazdu Polskiego Towarzystwa Socjologicznego. Należy oczekiwać, iż Zjazd będzie ważnym wydarzeniem naukowym. Ukaże również, jaką rolę odgrywają obecnie socjologowie i wyniki ich prac w życiu społecznym i politycznym kraju.

Program Zjazdu jest niesłychanie bogaty i obszerny. Daje dokładny obraz badań i zainteresowań polskich socjologów. Jednocześnie osobom spoza tego kręgu zawodowego wyraźnie uprzytomnia, iż socjologowie nie milczeli w ostatnich latach. Przeciwnie, gdyby tylko zechcieli ich wysłuchać wcześniej, może wielki konflikt społeczny w kraju przebiegałby dziś inaczej.

Podczas inauguracyjnej sesji plenarnej przedstawione zostaną m. in. wyniki badań nad źródłami konfliktu społecznego oraz prace specjalnej komisji ZG PTS zajmującej się analizą ubiegłorocznych strajków. Podczas następnych sesji poznać będzie można m. in. wyniki prac nad sprzecznościami interesów klasowych, a funkcjonowaniem systemu politycznego, prawem i praworządnością, grupami interesów w społeczeństwie polskim, miejscem chłopów w gospodarstwie rodzinnym w systemie ekonomicznym kraju oraz znaczeniu grup nacisku w kształtowaniu kultury politycznej. 21 grup roboczych zajmie się, dla przykładu, takimi tematami, jak: drobniemszczęństwo polskie, fenomen katolicyzmu polskiego, społeczne problemy ludzi starych, zagrożenie środowiska przyrodniczego, czy społeczny kryzys funkcjonowania miast.

Jak poinformowała prof. dr Jolanta Kulpińska, przewodnicząca komisji organizacyjnej Zjazdu, tak obszerny program Zjazdu i różnorodność tematów świadczy o tendencjach zmierzających do zaprezentowania aktualnego dorobku polskiej socjologii. Dłuższa przerwa w zjazdach Polskiego Towarzystwa Socjologicznego nie nastąpiła z winy socjologów. Tematyka Zjazdu jest przejawem demokratycznych zasad panujących w towarzystwie, zgodnie z którymi wszyscy, którzy zgłosili chęć zorganizowania grupy roboczej, mają możliwość zorganizowania takiej, a tym samym szansę na zaprezentowanie swoich wyników badań naukowych i poglądów naukowych. Środowisko socjologiczne nie jest jednorodne i Zjazd stanowi dobrą okazję do ujawnienia różnorodności poglądów i metod badawczych.

Czego się można po Zjeździe spodziewać? Przede wszystkim próby socjologicznej diagnozy konfliktu społecznego w kraju, następnie — zaprezentowania aktualnego dorobku i stanu badań naukowych, i wreszcie — ukazania odmiennych postaw badawczych. Zjazd wyraźnie ukaże również pokoleniową zmianę warty. Decydujące znaczenie w socjologii odgrywa obecnie naukowcy wykształceni po wojnie. To oni będą decydować o obliczu tej nauki w roku 2000. Jednakże Zjazd będzie miał znaczenie nie tylko dla samych socjologów. Przedstawione podczas obrad analizy sytuacji społecznej kraju winny służyć politykom i działaczom społecznym, a obywatelom pomóc w zrozumieniu złożoności zachodzących zjawisk.

M. G.

W POLITYCE TYDZIEŃ

Ludności Afryki Południowo-Zachodniej SWAPO, której działacze korzystają z pomocy Ludowej Republiki Angoli. Mówi się o chęci czasowej okupacji części terytorium tego kraju w celu fizycznego wyniszczenia działaczy i partyzantów SWAPO. Przy okazji chodzi o osłabienie młodej republiki, zakłócenie jej rytmu życia i przeszkoczenie rozwoju. Władze RPA nie skrywają przecież swej chęci do władz z Luandy i wiele by dały za ich obalenie i zastąpienie posłusznymi rasistami. Przykład Angoli niepokoi bowiem wszystkie siły wsteczne w tym rejonie świata, zainteresowane odroczeniem postępowych zmian. Agresja ma więc sens — jest wyzwaniem, rzuconym właściwie wszystkim ruchom narodowowyzwoleńczym Afryki.

Tak rozumie jej istotę Organizacja Jedności Afrykańskiej, która w bardzo ostrej formie potępiła inwazję RPA. Stanowczo zareagował również

Związek Radziecki, przypominając, że pozostaje w Układzie Przyjaźni i Współpracy z LRA. Protest i żądanie wycofania wojsk rasistowskich z Angoli wystosował rząd Polski. Nieprzychylnie odniesiono się do tego aktu w Europie zachodniej, a Stany Zjednoczone tylko formalnie wyraziły ubolewanie, zaznaczając równocześnie, że „całą sprawę należy widzieć w szerszym kontekście”. Można zgodzić się z tym „szerszym kontekstem”, ale tylko w odniesieniu do ogólniejszych niebezpieczeństw, jakie niesie ta napad.

Pozostaliśmy dzisiaj przy pozaeuropejskich tematach, odnotowując przede wszystkim egipsko-izraelski szczyt, jaki odbył się w Aleksandrii w dniach 25—26 sierpnia. Korespondenci piszą, że „góra zrodziła myśl”, ponieważ jednym konkretnym ustaleniem z rozmów Sadata i Beginia jest określenie terminu (trzecia dekada września) wznowienia rokowań na temat tzw. autonomii palestyńskiej. Z przebiegu konferencji prasowej obu przywódców wynika, że nie zmieniły się stanowiska stron, chociaż obie wyraziły nadzieję, iż rokowania zostaną zakończone do końca bieżącego roku. Czy to się uda — należy wątpić. Przeciwnie impas jest już wielomiesięczny.

Znamiennie, że w odpowiedzi na pytania na konferencji prasowej Begin stwierdził wyraźnie nie tylko możliwość, ale nawet konieczność rozwiązania problemu bliskowschodniego bez udziału Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Jak to jest możliwe — nie dodał. A brak realizmu jest największą przeszkodą w wypracowaniu właściwych wniosków.

W kolejności zwróćmy uwagę na 11-dniową podróż przywódcy Libii — Kaddafiego do Południowego Jemenu, Egiptu, Zjednoczonych Emiratów Arabskich, Kuwejtu i Syrii. Może nie zasługiwałaby na odnotowanie w przeglądzie wydarzeń międzynarodowych tygodnia, gdyby nie fakt, że — jak

to formułuje agencja Reutersa — miała ona na celu „skoordynowanie opozycji przeciwko wojskowej obecności Stanów Zjednoczonych w tym rejonie”. Kaddafi podpisał traktat o przyjaźni i współpracy z Egiptem i Południowym Jemenem, a w Damaszku nalegał na negocjacje w sprawie projektowanej unii libijsko-syryjskiej. W tym celu premier należałby syryjskiego uda się 1 września do Trypolisu. Rezultatem podróży — pisze ta sama agencja — jest złagodzenie rozbieżności z konserwatywnymi kramami Zatoki Perskiej i umocnienie stosunków z radykalnymi rządami arabskimi. Dopotóg do tego amerykański incydent lotniczy (chodzi o walkę samolotów w toku której zestrzelone zostały dwa samoloty libijskie).

I jeszcze kilkanaście słów o Iranie. Radio teherańskie podało, że wykryto tam nowy spisek, którego celem było zorganizowanie zamachu na życie ajatollaha Chomeiniego. Miał być to zamach bombowy na jego siedzibę w mieście Kum. Plan zamachu przygotowany został podobno przez członków grupowania madżahedinów ludowych.

Ta informacja wskazuje na dalsze zaostrzenie sytuacji wewnętrznej Iranu. Trwają tam zresztą egzekucje członków organizacji opozycyjnych. Od czasu zdymisjonowania i ucieczki prezydenta Bani-Sadra wyroki wykonano na 560 działaczach. Co z tego wzięcia wynika? — oto częste pytanie w korespondencjach z Iranu.

W. SŁAWSKI

PS. 30 ubm. w gmachu urzędu premiera Iranu w Teheranie eksplodowała bomba. W wyniku zamachu, po przewiezieniu do szpitala, zmarł m. in. prezydent Mohammad Ali Radżai oraz premier Mohammad Dżawad Bahonar.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), JERZY KATARASIŃSKI (z-ca redaktora naczelnego) EUGENIUSZ IWANICKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, TADEUSZ BŁĄŻEWSKI, KONRAD FREJDICH, MALGORZATA GOLICKA, JACEK INDELA, RYSZARD ŁUCYK (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, MAREK MILLER, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SÖLDENHOFF, GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny).

Stale współpracują: TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, WIADYSŁAW ORŁOWSKI, EWA PANKIEWICZ, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GIANC, JERZY WILMAŃSKI, ŁUCJUSZ WŁODKOWSKI.

Korekta: MARIA GRABSKA, KRYSZYNA SARDECKA.

Cena będąca najistotniejszą kategorią stosunków towarowo-pieniężnych może w gospodarce występować w roli „złego pana lub dobrego sługi”. Wcielenie się ceny, a właściwie systemu cen, w którąś z tych ról, uzależnione jest od racjonalności zasad i metod kształtowania cen, od sposobu ich oddziaływania na postępowanie producentów i konsumentów, a także od stopnia powiązania polityki cenowej z szeroko pojętą polityką społeczną państwa socjalistycznego.

Analiza dotychczasowych rozwiązań cenowych stosowanych w Polsce pozwala bez cienia przesady skonstatować, że system cen funkcjonujący w naszej gospodarce jest wyjątkowo złym i nieudolnym panem. Przejawy tego dobrze są znane osobom prowadzącym gospodarstwa domowe i kierownikom jednostek gospodarczych. Karykaturalny wręcz układ cen detalicznych i zaopatrzeniowych stanowi poważną przyczynę dużego marnotrawstwa żywności, materiałów, surowców i energii, będącego plagą gospodarki polskiej. Uniemożliwia on również przedsiębiorstwu i konsumentom dokonywanie racjonalnego wyboru pomiędzy różnymi możliwymi alternatywami, z punktu widzenia osiągnięcia optymalizacji określonych celów. Destrukcyjny charakter wadliwego układu cen ujawnia się nie tylko na rynku wewnętrznym lecz także w sferze obrotów zagranicznych, powodując niską efektywność naszego handlu zagranicznego. Wyeliminowanie wielu patologicznych zjawisk występujących w polityce cenowej wymaga dokonania gruntownej i kompleksowej reformy cen, zarówno detalicznych jak i zaopatrzeniowych. Tylko tą metodą można osiągnąć przeistoczenie się systemu cen „ze złego pana w dobrego sługę”.

Ogólnospołeczna debata na temat reformy systemu cen zbliża się nieuchronnie do osiągnięcia punktu kulminacyjnego, którym będzie powszechna konsultacja społeczna opracowanego przez rząd projektu zmian poziomu cen. Przebieg dotychczasowej dyskusji udowodnił, że problem cen przestał być traktowany jako tabu, tak przez władzę centralną jak i przez masy pracujące. Nie oznacza to jednak, iż przeprowadzenie operacji cenowej będzie łatwe. W świadomości społecznej tkwią nadal pewne opory psychiczne, zrodzone na gruncie doświadczeń nieudanych podwyżek cenowych z roku 1970 i 1976. Wydaje mi się, iż część społeczeństwa, zwłaszcza ta najuboższa, cierpi na swoistą neurozę cenową i emocjonalnie reaguje na każdą zapowiedź podwyżek cenowych.

Dyskusja owa wykazała również, iż istnieją zasadnicze różnice w kwestiach merytorycznych dotyczących skali podwyżki cen, sposobów jej przeprowadzenia, systemu rekompensat dochodowych etc. W toku tej dyskusji dały znać o sobie liczne nieporozumienia i uproszczenia wynikające z funkcjonujących jeszcze w świadomości ludzkiej starych sądów obiegowych utrudniających zrozumienie współczesnych procesów społeczno-ekonomicznych i powstających „jak grzyby po deszczu” nowych mitów ekonomicznych. Prowadzi to do konkluzji, że realizatorzy operacji cenowej staną w obliczu wielu trudnych dylematów od rozwiązania których zależęć będzie w znacznym stopniu powodzenie tej operacji, jak również, a może przede wszystkim, spokój społeczny w naszym kraju. Niektóre najważniejsze dylematy reformy cen stanowiąc będą przedmiot niniejszego artykułu, który nie pretenduje do wyczerpującego przedstawienia filozofii tej reformy lecz jest próbą osobistej refleksji na temat zawiloci i niejasności towarzyszących przygotowywanej zmianie cen w gospodarce.

REFORMA CEN A REFORMA GOSPODARCZA

Pragnę wyrazić przekonanie, że dylemat: reforma cen a reforma gospodarcza został sztucznie spłodzony przez dyletantów reprezentujących, używając bardzo modne ostatnio formuły, zarówno stronę związkową, jak i rządową. Jak bowiem inaczej można określić stanowisko niektórych przywódców i doradców związkowych, którzy w śródkał masowego przekazu wygłaszają poglądy w rodzaju: „najpierw należy wprowadzić reformę gospodarczą, a później zmieniać ceny”. Wypowiedzi tych można by nie traktować poważnie, bo tylko na to zasługują, gdyby nie fakt, że pochodzą one z ust działaczy związkowych cieszących się charyzmą i gdyby nie beznadziejnie niski poziom edukacji ekonomicznej niektórych warstw naszego społeczeństwa. Grzech strony rządowej polega znow na tym, że część centralnej biurokracji gospodarczej chciałaby z podwyżek cenowych uczynić podstawowe przedsięwzięcie mające na celu wyprowadzenie kraju z katastrofy ekonomicznej.

Przyjmując założenie, że dylemat: reforma cen — reforma gospodarcza ma charakter pozorny, należy sformułować tezę, że reforma cen jest integralnym elementem kompleksowej reformy gospodarczej, a nie samym w sobie posunięciem, wyizolowanym od zmian w mechanizmie ekonomicznym. Teza ta w sposób niejako naturalny wynika z logiki nowego systemu ekonomicznego, który zakłada wprowadzenie do zarządzania gospodarką arsenału narzędzi rynkowych zastępujących sławetne nakazy i limity. Jest oczywiste, że system tak może efektywnie funkcjonować tylko w warunkach prawidłowo kształtowanych cen stanowiących podstawowe narzędzie rachunku ekonomicznego w przedsiębiorstwie. Chcąc celowo wystrzycić istotę problemu można

sformułować następujący sąd: bez reformy cen nie będzie reformy gospodarczej, natomiast może być podwyżka cen bez reformy gospodarczej. Chociaż nie wyraża on mojej intencji w tej sprawie, to jednak eksponuje silny związek zmian cenowych z reformą gospodarczą i zwraca baczną uwagę na służebną rolę cen względem nowego mechanizmu gospodarczego.

Zdając sobie w pełni sprawę z konieczności powiązania zabiegu urealnienia cen z gruntowną reformą gospodarczą nie mogę uciec od pewnej refleksji, nieco zabarwionej sarkazmem. Dotyczy ona „straszenia” na łamach prasy, w radiu i telewizji opinii publicznej podwyżkami cen jako

CENA: zły pan czy dobry sługa

WITOLD KASPERKIEWICZ

nieubłagany skutkiem reformy systemu gospodarczego. Fałsz takiego ujęcia problemu polega na tym, że niezależnie od reformy gospodarczej i tak należałoby w naszym kraju przeprowadzić regulację cen na wiele podstawowych artykułów spożywczych i surowców, po to tylko, aby zlikwidować kolosalne ich marnotrawstwo i absurdalne dotacje budżetowe do ich produkcji. Do grupy wyrobów, których ceny wymagają natychmiastowego uporządkowania zaliczyć trzeba przede wszystkim: chleb, mąkę, cukier, mleko, węgiel, koks itp. Zdrowy rozsądek, a nie wielka reforma gospodarcza, dyktuje potrzebę wprowadzenia wysokości cen tych dóbr do poziomu kosztów produkcji. Tolerowanie dotychczasowych niskich cen tych wyrobów doprowadziło, jak w przypadku chleba, do powstania zjawiska sztucznego ich braku. Jest to tym bardziej paradoksalne, że Polska należy do największych w świecie producentów chleba na jednego mieszkańca.

Propagowanie konieczności zrealizowania reformy cen winno zasadzać się na ukazywaniu całokształtu tej nieprzyjemnej operacji, w więc nie tylko aspektu podnoszenia poziomu cen lecz również zmian ich struktury. Nie należy także zapominać, że wprowadzenie reformy gospodarczej powinno wzmocnić konkurencyjność samodzielnych przedsiębiorstw, które w pewnym zakresie będą dążyć do obniżania cen wytwarzanych towarów. Jest to zapewne melodia przyszłości, ale tego rodzaju tendencji cenowych nie sposób wykluczyć. Ponadto należy poważnie rozważyć propozycję cen ruchomych na pewne artykuły — cen zależnych od pory roku i terytorium. W związku z tym słuszną wydaje się propozycja, aby ceny mleka lub masła latem, kiedy podaż jest duża były niższe niż zimą, kiedy koszty produkcji są wyższe i warunki hodowli gorsze. Elastyczność cen powinna być stałą, nieodłączną cechą zreformowanego systemu cen w Polsce; cechą wymuszoną zresztą przez zasady nowego mechanizmu ekonomicznego.

JEDNORAZOWO CZY STOPNIOWO?

Problemem o kapitalnym znaczeniu dla reformy cen jest sposób jej przeprowadzenia, a mianowicie — jednym mocnym uderzeniem lub etapowo. Wybór określonego rozwiązania jest z determinacją nie tylko względami par excellence ekonomicznymi, lecz również społecznymi i politycznymi. Nie trzeba nikogo przekonywać, że zmiany cenowe w naszym kraju są wyjątkowo delikatną i wybuchową materią. Dlatego też wymagają specyficznego podejścia, uwzględniającego w równym stopniu przesłanki ekonomiczne, polityczne i psychologiczne. Wnikliwe rozważenie tych przesłanek powinno być podstawą wyboru metody dokonania operacji cenowej. Warto więc pokusić się o przedstawienie argumentów uzasadniających jednorazową, bądź stopniową podwyżkę cen detalicznych.

Przyjęcie optyki kryteriów ekonomicznych przesądzałoby o potrzebie akceptacji jednorazowej podwyżki cen. Dlaczego? Otóż, przede wszystkim dlatego, że tego rodzaju rozwiązanie skróciłoby okres dochodzenia do względnej równowagi rynkowej, okres likwidacji olbrzymiej luki inflacyjnej, której rozmiary osiągną w bieżącym roku kwotę ponad 500 mld zł. Poza tym jednorazowa reforma cen jest ze wszech miar słuszną z punktu widzenia wiarygodności ra-

chunek ekonomicznego, służącego w myśl założeń reformy gospodarczej za busołą w działaniach przedsiębiorstw. Rozkładanie reformy cen na raty spowoduje, że rachunek ów będzie nadal ułomny, pieniądź i koszty będą nadal fałszywymi kategoriami. Dodać tu należy, że reforma cen detalicznych powinna być zharmonizowana z reformą cen zaopatrzeniowych, a to w tym celu, aby zreformowane ceny oddziaływały nie tylko na konsumentów, lecz także na producentów. Uważam, że ten aspekt operacji cenowej jest zbyt słabo akcentowany w rządowych propozycjach reformy cen.

Analiza społecznych i psychologicznych warunków reformy cen przemawia za wyborem stopniowego przeprowadzenia tego zamierzenia. Nie uzurpując sobie prawa do wyrażania opinii społecznej można jednak sądzić, znając chociaż wrywkowo nastroje społeczne, że tylko wariant etapowych podwyżek cen uzyska szeroką aprobatę społeczną. W tej materii nie można — jak się wydaje — naszego społeczeństwa posadzać o nadmierny radykalizm i skłonność do szybkiego działania.

Konieczność forsowania podwyżek etapowych wynika przede wszystkim z faktu, że zgodnie z wersją roboczą projektu opracowanego przez prof. Z. Krasieńskiego, przewodniczącego Państwowej Komisji Cen i pełnomocnika rządu ds. reformy cen, wskaźnik ogólnego wzrostu cen podstawowych artykułów (w tym głównie żywności) wyniesie ok. 120%. Tak znacznego wzrostu cen społeczeństwo nie „przełknie” jednorazowo. Mogłoby to spowodować swoisty szok cenowy, zakończony niebezpieczną eksplozją niezadowo-

lenia społecznego. Mając świadomość owego niebezpieczeństwa rząd PRL w swoim programie przewidywania kryzysu oraz stabilizowania gospodarki zaproponował koncepcję etapowej podwyżki cen będącej alternatywą dla operacji jednorazowej.

Operacja ta obejmować powinna cztery etapy:

- etap I — zmiana cen chleba i przetworów mącznych, mleka i jego przetworów, roślinnych tłuszczów jadalnych oraz wyrobów tytoniowych; termin — początek II-półrocza 1981;
- etap II — cukier, wyroby cukiernicze, napoje alkoholowe oraz paliwa i energia — termin — I-półrocze 1982 r.;
- etap III — mięso i jego przetwory, termin — jesień 1982 r.;
- etap IV — środki produkcji dla produkcji żywności oraz usługi transportowe i komunalne — termin — koniec 1982 r.

Podwyżki cen przemysłowych artykułów konsumpcyjnych w tym wariantcie rządowym byłyby wprowadzane sukcesywie, poczynając od I-półrocza 1982 r.

REKOMPENSATY A NAWIS INFLACYJNY

System rekompensat związanych z podwyżką cen stanowił pięć Achillesową dotychczasowych operacji cenowych. Niesprawiedliwie ustalone w r. 1976 rekompensaty przyczyniły się do powstania groźnego konfliktu społecznego i w rezultacie do odwołania przez ówczesny rząd regulacji cen, która ze względów ekonomicznych była zasadna. Przypomnieć należy, że ta niefortunna i lekkomyślna podwyżka cen rzekomo zakładała pełny ekwiwalent dla społeczeństwa z tytułu wzrostu kosztów utrzymania. Tabela rekompensat była jednak tak zbudowana, że osoby o wysokich zarobkach otrzymywałyby rekompensaty kwotowe znacznie wyższe od grup pracowniczych niż zarabiających. Wynikało to z przyjęcia wadliwych procentowych wskaźników ustalania rekompensat; dla najniższej zarabiających dodatek do plac wynosił ok. 20% w stosunku do plac, natomiast dla najwyższej zarabiających 10%. Było to jawne odejście od zasady egalitaryzmu — świętej zasady polityki społecznej socjalizmu.

W oparciu o smutne doświadczenia przeszłości można przypuszczać, że podstawowym elementem obecnej reformy cen, na którym skoncentruje się czujność i nieufność związków zawodowych, będzie kwestia rekompensat dla ludzi pracy. Prawidłowe i zgodne z odczuciami szerokich mas ukształtowanie systemu rekompensat nie jest zadaniem łatwym, nie tyle ze względów metodologicznych, ile z powodu mozaikowego wręcz zróżnicowania sytuacji dochodowej poszczególnych grup ludności i struktury wydatków gospodarstw domowych.

Szczegółowe doniosłym zagadnieniem, które budzi wiele kontrowersji jest kwestia rozdziału rekompensat — równych dla wszystkich, czy też zróżnicowanych w zależności od wysokości zarobków, rent i emerytur. Z warko toczącej się dyskusji można wnioskować, że przeważają głosy akcentujące zróżnicowane kwoty rekompensat. W kręgu ekonomistów dominuje słusza, jak mi się wydaje, opinia, że koszty operacji cenowej są nieuchronne, ale nie można obciążać nimi grup społecznych pobierających najniższe płace, renty i emerytury. Dlatego też proponuje się, aby grupy te otrzymały pełną kwotę rekompensat.

saty. Natomiast osoby uzyskujące wynagrodzenia średnie i wysokie otrzymałyby niepełną rekompensatę odpowiednio zróżnicowaną.

Zasada niepełnej rekompensaty dla pewnych grup obywateli oznacza, że nastąpi w mniejszym lub większym stopniu drenaż dochodów. Sądzę, że celem takiego potraktowania rekompensat nie jest drenaż sam w sobie, lecz ratowanie rynku, próba zbliżenia się do względnej równowagi rynkowej, w tym głównie na obszarze rynku artykułów żywnościowych, którego jakość ma niewątpliwie znaczenie dla kształtowania się atmosfery społecznej w Polsce. Trzeba „bez owijania w bawełnę” stwierdzić, że z punktu widzenia równowagi rynku operacja polegająca na przyznaniu wszystkim pełnej rekompensaty jest bezsensowna. Byłaby to tylko operacja arytmetyczna, sankcjonująca status quo na rynku.

Wszyscy jesteśmy obserwatorami narastania nawisu inflacyjnego, który w tym roku sięgnie prawdopodobnie ok. 40% wartości masy towarowej. Nawis ten będzie wzrastał nawet, gdyby w ciągu najbliższych lat ceny, płace i podatki uległy stabilizacji. Podstawową przyczyną tego groźnego zjawiska jest stagnacja, bądź regres produkcji towarów, którego zahamowanie jest nakazem chwili. Odejściem od realiów ekonomicznych byłoby jednak mniemanie, że będzie to możliwe w krótkim okresie. Jak wobec tego zapobiec postępującemu wyniszczaniu rynku i dalszej eskalacji systemu kartkowego jako nieuchronnej alternatywy dla podwyżki cen detalicznych? Jak z tym olbrzymim garbem — nawisem inflacyjnym gospodarka wejdzie na ścieżkę reformy gospodarczej? Ile kroków uczyni — jeden, dwa...? Czy może w ogóle nie ruszy z miejsca? Jak pogodzić ze sobą system kartkowy i system ekonomiczny przedsiębiorstw nastawionych na zysk i uzależniający płace od wyniku finansowego? Nie są to pytania retoryczne. Kierując je do tych osób, które lansują bardzo chwytliwe hasło: „nie oddamy nawet złotówki wywalczonej po sierpniu”, hasło skądinąd prawdziwe, gdyż są to de facto złotówki wywalczone, a nie wypracowane, czyli nie mające pokrycia w masie towarowej.

Atmosfera zbliżającej się podwyżki cen detalicznych sprzyja krzewieniu się wielu opinii obiegowych, które są obiektywnie uzasadnione, zważywszy olbrzymią skalę planowanej regulacji cen. Jedną z takich opinii wyraża się w przekonaniu, że podwyżka cen jest zamachem na stopę życiową ludności i najsilniej uderzy w małuczkich. Obawy te rozumiem w kategoriach psychologicznych, ale ich nie aprobuje. Są one w znacznej mierze pochodną mocno zakorzenionego w naszym społeczeństwie stereotypu, w myśl którego utożsamia się podnoszenie stopy życiowej ze wzrostem dochodów pieniężnych, nawet jeśli ów wzrost nie jest równoważony zwiększeniem masy towarowej. Problem warunków bytu traktuje się jako sprawę nie wypływającą z sytuacji ekonomicznej kraju i nie dostrzega się zgubnych skutków ekonomicznych swych obecnych żądań podwyżek plac i świadczeń społecznych. Zadośćuczynienie tym żądanom odbywa się wyłącznie w płaszczyźnie pieniężnej i faktycznie nie regulują one problemu podniesienia stopy życiowej, a tylko rozbijają rynek i destabilizują gospodarke. Dlatego też sądzę, iż podwyżki cen nie spowodują zasadniczych zmian w poziomie bytowania ludności pod warunkiem, że najniższe zarabiający otrzymają pełną rekompensatę. Larum podnoszone w związku z groźbą drastycznego obniżenia poziomu życia w wyniku podwyżki cen jest nieuzasadnione. Przecież po sierpniu 1980 r. mimo znacznego wzrostu plac i dochodów nastąpiło odczuwalne obniżenie stopy życiowej i to zwłaszcza najsłabszych grup społecznych. Dalsze trwanie na wysokiej fali nawisu inflacyjnego może nas — mówiąc aluzyjnie — wyrzucić na wybrzeża Kuby — symbolu totalnego systemu kartkowego. Nie jest to chyba pragnieniem naszego ambitego narodu.

*

Moim dotychczasowym wynurzeniem można zarzucić, że uporczywie eksponuję stronę popytową, a ściślej — cenową, zjawiska nawisu inflacyjnego. Wiadomo, że ekonomia posługuje się w sposób integralny kategoriami popytu i podaży. Słusznie, ale w naszej konkretnej sytuacji gospodarczej znaczne zwiększenie podaży towarów konsumpcyjnych w najbliższym czasie jest nierealne. Romantyzmem ekonomicznym byłoby przekonanie, że w ciągu najbliższych 3-4 lat można by realizować tempo wzrostu produkcji rzędu 12-13%, niezbędne z punktu widzenia zamknięcia luki rynkowej.

Naszą wielką nadzieją jest gruntowna reforma gospodarcza, ale nie ludźmy się, iż jej wprowadzenie da natychmiastowe efekty w postaci obfitości dóbr konsumpcyjnych. Zanim odczujemy jej dobrodziejstwa możemy być przywaleni przez lawinę nawisu inflacyjnego. Dlatego też musimy wolens nolens oswoić się z myślą o reformie cen detalicznych. Jestem przekonany, że w obecnej sytuacji społeczno-politycznej istnieje szansa, aby podwyżka została przeprowadzona w stylu zgodnym z duchem demokratyzacji stosunków społecznych. Szeroka konsultacja społeczna prowadzona wszelkimi możliwymi kanałami komunikacji międzyludzkiej, uzyskanie aprobaty związków zawodowych oraz minimum zaufania obywateli do władzy, do jej reformatorskich działań na rzecz przeciwdziałania katastrofie gospodarczej — oto najważniejsze elementy składowe powodzenia operacji cenowej.

Opinia światowa od kilku lat żywo interesuje się zagadnieniem niębosczyków, czyli „zamrażania” nieboszczyków tuż po śmierci klinicznej, po czym za kilkadziesiąt lat — gdyby nauka osiągnęła w tej dziedzinie wystarczający postęp — mogliby oni powrócić do życia. Sprawy te stwarzają okazję do wielu nadużyć, o czym pod tytułem „Kriogenika — zamrożony entuzjazm” pisze Alain de Penanster na łamach tygodnika „L'EXPRESS”.

Czy zamrażanie ludzkiego organizmu jest czymś z dziedziny science-fiction? Niekoniecznie. Pragnienie przedłużenia życia stało się ostatnio realniejsze dzięki kilku odkryciom w dziedzinie biologii: stwierdzono mianowicie, że komórki embrionów zamrożone w temperaturze minus 196 stopni, a następnie doprowadzone do temperatury 37 stopni, żyją nadal. Serce żaby poddane tej samej operacji, zaczyna bić na nowo. Stąd projekt naprawienia mechanizmu ludzkiego po odpowiednim okresie wycoczynku, jaki zapewniłaby hibernacja.

Amerikanie zaczęli więc już działać. 22 ciała są już zamrożone w temperaturze minus 196 stopni, czekając na lepsze czasy. Do tych 22 ciał zamrożonych w całości, dołączono głowę człowieka, którego korpus został rozerwany na kawałki w katastrofie samochodowej. Rodzina zmarłego polecała, dość naiwnie, trzeba przyznać, zamrozić jego głowę w nadziei, że pewnego dnia będzie mo-

KRIOGENIKA: ZAMROŻONY ENTUZJAZM

zna ją „podłączyć” do innego ciała, gdy mikrochirurgia będzie już w stanie dokonywać cudów niewyobrażalnych w chwili obecnej. Kiedy to nastąpi? „Okolo roku 2010” — stwierdzili specjaliści od prognoz Rand Corporation.

Operacja kryogenii, czyli zamrażania nieboszczyka jest już sama przez się nie lada wyczynem. We wszystkich krajach prawo zabrania zamrażania człowieka żyjącego. Kandydat do przetrwania musi więc być poddany zabiegowi w ciągu 15 sekund po zatrzymaniu akcji serca, a więc na pograniczu między śmiercią kliniczną, a śmiercią nieodwracalną, która następuje nieco później. Trzeba zastąpić krew „biologicznym antyzamrażalnikiem”, uzyskanym na podstawie doświadczeń przeprowadzonych na karaluchach arktycznych, które żyją przy temperaturze minus 87 stopni. Następnie umieszcza się ciało w podłużnej kapsule ze specjalnego stopu, napełnionej płynnym azotem.

Główną trudnością jest bardzo wysoki koszt operacji — milion franków tytułem kosztów stałych, plus odnawianie czterech litrów azotu, które codziennie wyparowywują. Ponadto co dziesięć lat trzeba wymienić kapsułę, która ulega korozji. Koszt: 800 franków miesięcznie.

Spadkobiercy — lub ich potomkowie — muszą więc bardzo gorąco pragnąć ujrzeć znów drogiego zmarłego, aby zdecydować się na takie wydatki. Walt Disney chciał, aby go zamrozić. Rodzina jednak kazała spalić jego zwłoki w krematorium, pod pretekstem, że kriogenika „nie jest jeszcze należycie opracowana” a także dlatego, że nie chciała roztrwonić jego majątku do roku 2010.

Ponieważ przebudzenie klienta nastąpić ma w bardzo dalekiej przyszłości, firma Cryonics Inc. z Los Angeles zaprzęgnęła poczynić pewne oszczędności. Przede wszystkim na jakości kapsuł, które niebawem zaczęły przeciekać. Następnie firma przestała odnawiać zasoby azotu, którego cena wzrosła w miarę postępów inflacji. Robert Nelson, dyrektor przedsiębiorstwa Cryonics Inc. przyznał w końcu: „Musiałem załatwić wszystko tak, jak na zwykłym ementalarze”. Zaniepokojone rodziny kazały otworzyć „specjalną kryptę”. Okazało się, że ciała były w stanie rozkładu i trzeba było co prędzej je spalić.

Był to ciężki cios dla tych, którzy sądzili, że kriogenika ma przyszłość przed sobą. Kilka podobnych firm zbankrutowało w Nowym Jorku i na Florydzie.

Mimo to energiczny inżynier z zakładów „Renault”, Anatole Dolinoff, zaprojektował wielki zamrażalnik, w którym kilku uprzywilejowanych mogłoby oczekiwać na nowe życie. Trzeba jednak znaleźć dla owego urządzenia miejsce, gdzie byłoby zabezpieczone przed zniszczeniem. Dolinoff byłby skłonny wybrać miejscowość Beauvoir-sur-Mer w Wandel, albo jeszcze lepiej Konfederację Szwajcarską. Idealna byłaby jakaś grotta w Alpach szwajcarskich — mówi inżynier. Wszakże inwazje zawsze omijały Szwajcarię. A poza tym, byłoby blisko do banków, aby móc płacić”.

„POLMO” 203 DNI PÓŹNIEJ

Dalszy ciąg ze str. 1

również, mają bierne prawo wyborcze, jeśli więc ich kandydatury zostaną wysunięte i zostaną wybrani, to co?

Były to rozważania teoretyczne. Praktycznie Tymczasowa Rada Pracownicza składała się wówczas z przedstawicieli różnych organizacji działających w fabryce, które delegowały po 5 przedstawicieli. W skład TRP wchodził również jeden z dyrektorów. NSZZ „Solidarność” wówczas — jako związek — nie interesował się samorządem, a nawet był do idei samorządu nastawiony sceptycznie. W FOS „POLMO” członkowie „Solidarności” brali jednak udział w pracach samorządu pracowniczego.

Tak było 203 dni temu. Do FOS „POLMO” wybrałam się ponownie 17 sierpnia br. Nie zastałam wszystkich poprzednich moich rozmówców. Część na urlopie. I sekretarzem KZ PZPR w „POLMO” jest obecnie Jan Ciesielski, poprzednio był Wiesław Walczak, Komitet Zakładowy reprezentował też II sekretarz — Roman Łukasik. Komisję Zakładową NSZZ „Solidarność” jej przewodniczący — Sławomir Jarecki, NZZ „Metalowiec” — Karol Pawłowski, dyrekcję — Marian Zwierzyński.

Co się zmieniło?

ZAŁOGA FOS „POLMO”

jest obecnie przed wyborami do samorządu pracowniczego. Tworzy się okręgi wyborcze. Niektóre powstały samorzutnie, z inicjatywy załogi. Ludzie dobierają się w tych okręgach, ale mogą też głosować w okręgach na swoich wydziałach. Najmniejszy okręg ma 40 wyborców, są i okręgi 150-osobowe. Wybiera się jednego delegata na 50 wyborców. Wybory powinny odbyć się we wrześniu, kiedy już cała załoga będzie po urlopach, a fabryka po okresie remontu. Listy kandydatów będą rejestrowane i dopiero wówczas nabiorą ważności. Wybory będą ważne, kiedy głosy na zarejestrowaną listę odda dwie trzecie wyborców. Przewiduje się, że wybory nie odbędą się w całej fabryce jednocześnie, że rozłożą się w czasie, aby każdy okręg mógł spełniać wszystkie niezbędne warunki.

DELEGATÓW DO RADY PRACOWNICZEJ

wybiera cała załoga. Kandydatem może być każdy członek załogi. Uznano, że członkowie kierownictwa są też członkami załogi. Do samorządu nie mogą tylko kandydować członkowie dyrekcji; ich praca podlega bowiem opiniowaniu przez samorząd. Członkowie samorządu nie reprezentują organizacji do których należą, ale swoich wyborców.

ORGANIZACJE POLITYCZNE

społeczne, zawodowe mają obowiązek ciągłej współpracy z samorządem. Nie przewiduje się stałego ciała doradczego, które składałoby się z przedstawicieli organizacji, ale — stałą współpracę wszystkich organizacji i to tym ściślej, im aktualniejszy jest temat wchodzący w zakres działania tej czy innej organizacji. Chodzi bowiem o to, aby poszczególne organizacje nie czuły się zwolnione z obowiązku działania, skoro zakresami ich zainteresowania zajmuje się samorząd, a przeciwnie — aby wiedziały, że muszą w czasie obrad samorządu bronić swego stanowiska, występować z inicjatywami i programem, pomagać w rozwiązywaniu różnych spraw załogi w jej interesie.

S. JARECKI: — Zbyt długo dyskutuje się o samorządzie, zamiast zacząć konkretnie działać. Pewne problemy można przecież rozwiązywać na przykładach wynikających z praktyki. Na przykład sprawa powoływania dyrektorów. Czy nie można wytypować załogi i sprawdzić, jak to wygląda w praktyce? Zresztą sprawa wybierania dyrektorów w moim przekonaniu nie jest najważniejsza. Dla nas najważniejszy jest model ekonomiczny. Jak będzie taki model, to nieza-

leżnie od tego, kto będzie powoływał dyrektora, przedsiębiorstwo musi dobrze funkcjonować. I nie jest też tak ważne, kto później ma odwoływać dyrektora. Tylko, że takiego modelu ekonomicznego — jak do tej pory — nie widać. A bez tego nie ruszymy. Obowiązujący system prawno-ekonomiczny stwarza bariery dla działania nawet Tymczasowej Rady Pracowniczej.

KAROL PAWŁOWSKI: — W naszym statucie Rady Pracowniczej sprawa została postawiona jednoznacznie: samorząd wybiera dyrektora. Takie stwierdzenie zawarte jest również w statucie przedsiębiorstwa przygotowywanym przez dyrektora Mariana Zwierzyńskiego.

JESLI W RADZIE PRACOWNICZEJ

znajdą się ludzie nieodpowiedni, źle reprezentujący swoich wyborców, to Statut Rady Pracowniczej przewiduje możliwość ich odwołania. To nie budzi żadnych wątpliwości.

ZAŁOŻENIE SAMORZĄDU,

jego działalność wynika z dotychczasowych rezultatów współpracy wszystkich organizacji w FOS „POLMO”. Nie znaczy to, żeby nie było spraw spornych, kontrowersyjnych. Ale wtedy zbliża się stanowiska w trakcie dyskusji i rozmów.

J. CIESIELSKI: — W naszym wspólnym interesie. My możemy mieć różne zdania, trzeba więc szukać porozumienia i wobec załogi występować z uzgodnionym stanowiskiem. Tak właśnie robimy.

R. ŁUKASIK: — Kiedy był IX Zjazd to mieliśmy w zakładzie wspólne dyżury, podzieliśmy się, kto kiedy dyżuruje, członkowie partii, związkowcy, robiliśmy to razem, bo zakład jest nasz, wspólny i my musimy dbać wspólnie o jego bezpieczeństwo. Nikt z zewnątrz by tu nie wszedł i nam nie zamieszkał. I tak się też ustawiamy do Rady Pracowniczej — mamy wspólną własność, z tego żyjemy, wspólnie musimy o nią dbać i tak postępować, aby załogi nie dzielić, a nasze wspólne dobro pomnażać.

S. JARECKI: — Czasem ktoś w którejś organizacji popełni błąd. No, i co? Zdarza się. Mamy zaraz włączyć radiowęzeł, szykować papier na ulotki i walkować kolejny temat „odnowy”? I po co? To nam ma robić atmosferę do współpracy? Kupa śmiechu. Gdyby ci na górze tak postępowali, jak my tu, to nie byłoby tylu zadrzań. A każde spięcie na górze odbija się u nas na dole i wcale nie pomaga pracować. Tym bardziej musimy być uważni, aby dobra współpraca w fabryce nie doznała szwanku.

W FSO „POLMO” TEŻ STRAJKOWANO,

a zakładowa „Solidarność” podchodziła do strajku z całą powagą. Przeprowadzano więc ankiety wśród załogi. Bada się nastroje i poglądy. Na przykład, w czasie konfliktu bydgoskiego kiedy całemu krajowi groził strajk, przeprowadzono w FOS „POLMO” ankietę i w jej wyniku sporo osób z załogi wyraziło wątpliwość, czy strajk jest w ogóle potrzebny, ale uznano, że jeśli większość zdecydowała o strajku, to oni większość się podporządkują.

JEST W „POLMO”

jeden pracownik, który jeszcze nigdy nie strajkował. Pracuje przez cały czas wszystkich strajków. Nikt mu w tym nie przeszkadza. Majster przychodzi specjalnie dla niego, aby wszystko było zgodnie z przepisami.

CO JESZCZE ZROBILI PRZEZ TE 203 DNI?

Dyrektor Marian Zwierzyński przystąpił do opracowania statutu przedsiębiorstwa w oparciu o projekt ustawy o przedsiębiorstwie i samorządzie. Odbyły się już 2 posiedzenia, na których dyskutowano projekt statutu przedsiębiorstwa. Nie czekają na gotowe. Sami podejmują działania.

Powołano komisję do weryfikacji kadr i spłaszczenia struktury organizacyjnej przedsiębiorstwa. Uważają, że za wiele jest komórek pośrednich, komplikujących działanie. Jest to inicjatywa wszystkich organizacji działających w fabryce. Wiele sobie po tym obiecują.

STOSUNEK DO ZJEDNOCZENIA.

Uważa się, że zjednoczenie spełnia obecnie rolę „skrzynki przekątnikowej”. Coraz mniej się wtrąca. Nie przeszkadza, ale i nie pomaga.

M. ZWIERZYŃSKI: — Mówiąc szczerze, zjednoczenie nigdy u nas przesadnie nie ingerowało. Uchodziliśmy za zakład niezły, mieliśmy dobrą dynamikę produkcji. Najwięcej kłopotów sprawiało nam zaopatrzenie. Były protokoły rozbieżności. Naciśkalimy na zjednoczenie i w końcu dostawaliśmy to, co było nam potrzebne. I teraz dostajemy, bo ludzie starają się, są operatywni, działają z poświęceniem. Umieją zawsze zdobyć to, co jest w kraju.

Przemysł motoryzacyjny stanowi jeden organizm ściśle z sobą powiązany. Musi istnieć jakieś ciało koordynujące pracę poszczególnych fabryk kooperujących z sobą. Gwarancją tej kooperacji powinny być umowy zawierane raz w roku i przez cały rok obowiązujące, ściśle przestrzegane.

Pierwotny plan produkcji na rok 1981 opiewał wartość 1 600 milionów zł, ale w związku z trudną sytuacją uległ korekcie przez fabryki dające produkt finalny, czyli samochody, do sumy 1 421 milionów zł. W ciągu 7 miesięcy zrealizowano o 20 procent mniej planu niż w 7 miesiącach roku ubiegłego. Ale i zatrudnienie jest mniejsze o 6 procent. Wykorzystano tylko 20 procent ilości godzin nadliczbowych w porównaniu z ilością godzin nadliczbowych wykorzystanych w tym samym czasie roku ubiegłego. Wydajność mierzy się w „POLMO” czasem rzeczywistym przepracowanym i wynosi ona 95 procent.

Podstawową trudnością są dostawy surowców i wyłączenie energii. Jeśli przez 5 dni będzie brakowało surowca i przez 5 dni będzie brakowało energii, już się takich strat nie odrobi. Ale w „POLMO” są dobre myśli. Sądzą, że zrobią to, co zaplanowali.

Plan na pierwsze półrocze był wyższy niż na drugie. Jest to świadome założenie. W trzecim kwartale przewidziano urlopy i remonty. Założono też trudności z surowcami.

S. JARECKI: — Nasza obawa przed brakiem surowców bierze się z błędnego założenia. Nie powinno bowiem być zakładów o zbyt wąskiej specjalizacji i w dodatku monopolistów. Nie powinno zmieniać się w ciągu roku założeń kooperacyjnych. Myślę, że samorządność to rozwiązanie, jak będą umowy kooperacyjne zawierane raz na rok i przez cały rok obowiązujące. Wtedy można będzie produkować bez obaw. Jeśli samorząd będzie miał coś do powiedzenia, to będzie mógł dokonywać przegrupowywania sił i środków na inną produkcję, bez zasadniczej zmiany profilu produkcyjnego zakładu. Przecież obok gaźników będzie można produkować inne atrakcyjne wyroby na rynek. Produkcja musi być ciągła. Zjednoczenie już ustąpiło pod naszym naciskiem. Mamy przygotowany plan nowych wyrobów, gdyby trzeba było do takiej zmiany produkcji przystąpić. Wiele zależy od reformy gospodarczej.

J. CIESIELSKI: — Myślę, że dużo jeszcze czasu upłynie nim trafi do nas idea reformy, jak i ustawy o przedsiębiorstwie. Teraz nie wszyscy zdajemy sobie sprawę, jak w tych nowych warunkach przyjdzie nam pracować i jak powinniśmy zorganizować pracę w zakładzie. Rada, którą wybierzemy nie będzie miała lekkiej pracy. Trzeba będzie przeszkolić całą załogę, przystosować pracę zakładu do nowych warunków, które — miejmy nadzieję — wreszcie zaistnieją. Dziś jesteśmy jeszcze w fazie dyskusji, wyrażamy różne poglądy, ale tak naprawdę to niewiele wiemy, jak to będzie.

TAKI JEST

obraz FSO „POLMO” w Łodzi po 203 dniach przedstawienia pierwszej dyskusji o samorządzie i jeśli nawet dziś jeszcze nie do końca wiadomo, jak to będzie w nowych warunkach, to zalecającą się współpracą wszystkich organizacji „POLMO” gwarantuje, że fabryka poradzi sobie z kłopotami. Był jej tylko nie przeszkadzano.

BOGDA MADEJ



Foto: R. Łucyszyn

wieś umie liczyć

Rozmowa z JANEM KUŁAJEM, przewodniczącym Ogólnopolskiego Komitetu Założycielskiego NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność”.

„ODGŁOSY”: Na łamach prasy, w radiu i telewizji rozlegają się głosy zawodu wyrzucające „Solidarność” Rolników Indywidualnych z roli wpływu na sytuację w wyżywieniu narodu. Przypomina się, że w momencie rejestracji związek obiecywał wyraźną poprawę w dziedzinie produkcji rolnej. Ludzie są zmęczeni codziennymi kłopotami z zaopatrzeniem. Jak pan ocenia rzeczywiste możliwości NSZZ RI „Solidarność” jako jego przewodniczący?

JAN KUŁAJ: Nasz związek reprezentuje interesy rolników indywidualnych. Wieś potrafi liczyć i żąda, nawet najwznioślejsza idea, nie jest w stanie pobudzić jej do tego, żeby produkować żywność, jeśli nie będzie się to opłacać. Przekonanie, że sama rejestracja związku może spowodować lepsze wyżywienie, jest z gruntu błędne i należy ubolewać, że tak często interpretują ideę „Solidarności” czynniki rządowe. Jesteśmy powołani do obrony interesów rolników. Rolnik nie jest zainteresowany w sprzedaży owoców swojej ciężkiej pracy poniżej kosztów produkcji.

— To rozumiecie. Ale przecież w ostatnim czasie jest tyle uchwał popierających rozwój rolnictwa. Podniesiono ceny skupu mięsa i mleka.

— Ale w dalszym ciągu nie zrobiono na rzecz zaopatrzenia wsi w środki produkcji. Nie została też poprawiona opłacalność produkcji.

— A nowe ceny?
— Podwyżka cen skupu mięsa z jednoczesną podwyżką cen na paszę, nie podniosła opłacalności produkcji żywca. Myślimy to sygnalizowali. Móvilimy, że tylko całkowita reforma cen, skalkulowanie ich na poziomie opłacalności, może doprowadzić do zainteresowania produkcją.

— A jak będzie z płodami rolnymi? Słyszysz się znowu głosy, że w tym roku mamy urodzaj. Ceny na rynku zdają się świadczyć, że jest inaczej.

— W tej chwili prócz mięsa, którego spożywamy w kraju nie mniej niż w roku 1973 oraz sprowadzanych za dewizy owoców południowych, niczego nie powinno zabraknąć na rynku. Ale zła organizacja w punktach skupu, doprowadziła do tego, że w jednym regionie chłopi nie mają możliwości sprzedaży swoich produktów, głównie warzyw, w innym ludzie w miastach nie mają ich gdzie nabyć, albo płać wysokie ceny. To, co się dzieje ze skupem dowodzi ogromnej lekomyślności administracji. Wiadomo, że niezagospodarowane plody rolne wykażą swój brak na rynku w innej porze roku.

— Czy znaczy to, że „Solidarność” Rolników Indywidualnych przygląda się tej sytuacji bezczynnie? Pasywność jest na rękę biurokratom, zwalnia ich od działań.

— „Solidarność” Rolników Indywidualnych podjęła szereg działań interwencyjnych. Domagamy się, aby umowy kontraktacyjne, które zawierają rolnicy z państwem obowiązywały ściśle obydwie strony i aby to wszystko, co rolnicy produkują, było kupo-

wane przez państwo. Niektóre interwencje przyniosły skutek, na niektóre było już za późno. Zmarnowało się wiele wczesnej kapusty i ogórków.

— Taka szamotanina i wzajemne odbijanie piłeczki nie prowadzi do niczego dobrego. Sam pan stwierdził, że niektóre nasze interwencje okazały się spóźnione. To prowadzi do wielkich strat. Czy uda się im zapobiec w przyszłości?

— Tego nie wiem. Dopiero teraz można zauważyć to zło, które nas, niestety, jeszcze czeka. Chodzi o to, że wiesz po sprzedaniu swoich towarów będzie chciała coś kupić, a sklepy są puste. Mam tu na myśli rozmaite towary przemysłowe, a przede wszystkim środki produkcji. Trzeba powiedzieć otwarcie, że artykuły, które się ukazują na rynku interesują ludzi ze wsi i pobudzają w nich chęć zdobycia środ-

ków na zakup. (Kiedy tych towarów brakuje, może się zdarzyć, że chłopi będą powstrzymywać się ze sprzedaży swoich produktów. Raz dlatego, że pieniądze nie mają dziś żadnej wartości i tracą ją z dnia na dzień. Dwa, że za te mało wartościowe pieniądze nie można nic kupić.

— „Solidarność” Rolników Indywidualnych prowadziła ostatnio rozmowy z rządem. Czego one dotyczyły i jak je pan ocenia?

— Nasze rozmowy dotyczyły zasad podziału Funduszu Rozwoju Rolnictwa. Został on przekazany do kompetencji zebrania wiejskiego, co jest ważnym osiągnięciem „Solidarności”. Zostały także ustalone zasady opłacalności za usługi świadczone rolnikom przez SKR. Nie może mieć miejsca, jak to było do tej pory, dzięki podwyższeniu cen za usługi. Odpłatność za usługi

w całym kraju musi być jednakowa w stosunku do wykonanej pracy.

— Skoro już jesteśmy przy rozmowach z rządem, jak pan ocenia stosunek administracji państwowej do waszego związku?

— Jeżeli chodzi o resort rolnictwa, zauważamy dużo dobrej woli. Natomiast inne organy blokują niekiedy nasze wspólne, słuszne poczynania, które wraz z Ministerstwem Rolnictwa chcielibyśmy wprowadzić w życie.

— A jaką rolę spełnia w tych poczynaniach Związek Organizacji i Kółek Rolniczych?

— Jest to po prostu grupa ludzi, która nie może spełniać tej roli, do jakiej rości sobie pretensje. Cechuje ich przesterz ambicji w stosunku do możliwości.

— Czy nie ocenia ich pan za surowo?



Foto: T. Ciesielski

12 maja 1981 — rejestracja NSZZ RI

— Organizacja niby chłopska, która podnosi ceny za usługi dla tegoż chłopca, nie może bronić interesów rolnika. Przyzna pan chyba, że w tym postępowaniu jest wewnętrzna sprzeczność. Staramy się jednak nie doprowadzać do konfliktów, gdyż nie uważamy Związku Organizacji i Kółek Rolniczych za reprezentację związkową rolników, choć sami jesteśmy członkami kółek rolniczych jako organizacji gospodarczych.

— W tej chwili trwają przygotowania do Zjazdu NSZZ RI „Solidarność”. Jak zaawansowane są te przygotowania?

— W tej chwili zaczynają odbywać się wybory w poszczególnych województwach. Chodzi o to, żeby demokratycznie wybrać władze, które będą godnie reprezentować swoich członków. Ogólnopolski Zjazd odbędzie się jesienią bieżącego roku, ścisła data nie jest jeszcze ustalona.

— Czy na tym Zjeździe zamierza pan ubiegać się o wybór na przewodniczącego?

— Jeszcze się zastanowię, czy będę kandydował na przewodniczącego związku.

— „Solidarność” robotnicza jest także w przededniu zjazdu. Jak układają się wasze stosunki z tą organizacją?

— Współdziałamy z „Solidarnością” robotniczą jak trzeba. Tę współpracę się zauważa.

— Ale to robotnicy w mieście płać te wysokie ceny za produkty rolne.

— Mam mieć spotkanie obydwu przyrządów na temat maksymalnych cen produktów rolnych.

— Jest pan sam rolnikiem. Czy może pan powiedzieć coś na temat swego gospodarstwa?

— Skończyłem technikum rolnohodowlane. Mam gospodarstwo w województwie przemyskim, 9 hektarów. Tegoroczne plony w moim gospodarstwie zapowiadają się bardzo dobrze. Uprawiam wszystko. Prowadzę także hodowlę, wszystkiego po trochu, jak w ogrodzie zoologicznym.

— Czy praca społeczna nie odbija się na pańskiej gospodarce?

— Często jestem w Warszawie, albo w terenie. Ale gospodarka przez to nie cierpi, bo mam jeszcze ojca.

— Mówiliśmy tu o stosunkach NSZZ RI „Solidarność” z rządem. A jak układają się pańskie stosunki z władzami gminnymi?

— Władze gminne nie starają się wchodzić ze mną w konflikt. Ale ja nie twierdzę, że mam za dobre stosunki z władzami. Jeśli każdy na swoim stanowisku będzie dobrze wywiązywał się z obowiązków, to na pewno nie będzie konfliktów między władzami a związkiem.

— Widzę, że pan się śpieszy, a chcielibyśmy zadać jeszcze parę pytań.

— A ile pan ma już tych notatek?

— Trochę knoso.

— Leniej mało, a treściwie, niż dużo wody. Niestety, muszę już wracać na posiedzenie przyrządu OKZ.

— No cóż. Dziękujemy za rozmowę.

Rozmawiał:
KONRAD FREJDLICH

LISTY DO REDAKCJI

JAK BYĆ UCZCIWYM RZEMIEŚNIKIEM

Od kilku miesięcy jestem na emeryturze i od kilku miesięcy pomagam memu młodszemu znajomemu (jako jego pracownik) w prowadzeniu warsztatu rzemieślniczego.

Zdołałem poznać nieco sprawę rzemiosła od „podszewki”, jest to jeszcze spojrzenie niezupełnie kompleksowe, ale świeże, więc bardziej wyraziste — i zanim zostanie przytłumione tzn. zanim i my ulegniemy zdemoralizowaniu, może warto by podzielić się niektórymi spostrzeżeniami i uwagami podobno szeroko znanymi, a wokół których panuje znowa milczenie.

Formalności z uzyskaniem zezwolenia na prowadzenie warsztatu były logiczne, stosunkowo nieskomplikowane i załatwiane w atmosferze prawdy i życzliwości. Natomiast pierwsze spotkanie z przedstawicielami Wydz. Finansowego nie nastąpiło nas optymistycznie; nie rozpoczęliśmy jeszcze bowiem działalności, a już zostaliśmy potraktowani jak „przestępcy podatkowi”. W wydziałach tych, jak nam powiedziano, NIC się od 1968 roku nie zmieniło. Na pytania dotyczące prowadzenia książki podatkowej słyszemy suchą odpowiedź: „...jest instrukcja, a jak jej nie rozumiecie, to kontrola i grzywna Was nauczą...”

Mój obecny szef ma zamiar oprócz produkcji prawie wyłącznie na wykorzystaniu odpadów z dużych zakładów przemysłowych. Zna też gałąź przemysłu, wie gdzie i co wywozi się na zyspiska śmieci, ma pomysły jak te odpady wykorzystać do wyrobu artykułów rynkowych.

Niektóre z tych odpadów stanowią w fabrykach kłopotliwy balast, ich cenę określono symboliczną kwotą kilkunastu groszy za kilogram, kiedy jednak znajdują się one u rzemieślnika, muszą być traktowane jako surowiec wysokiej klasy; podlegają bowiem obowiązkowi szczegółowego rozliczenia, prowadzenia kartoteki, rozliczeń półproduktów, braków oraz przechowywania na wypadek kontroli odpadów własnych z tych odpadów.

Jeden z rzemieślników wyraził na ten temat taką opinię: „Uciekajcie od stosowania odpadów, nigdy bowiem nie będziecie w stanie rozliczyć się dokładnie z ich zużycia i zawsze Wydz. Finansowy znajdzie jakąś lukę, jakąś niedokładność — a to daje im podstawę do odrzucenia wszystkich innych waszych zapisów i ustalenia podatku według ich uznania”.

Faktycznie — jak tu prowadzić ścisłą ewidencję wartościowo-ilościową odpadów, jeśli ze względu na ich charakter i cenę występują znaczne różnice między wagą fakturowaną a rzeczywistą, czasem odpady są zamoczone, więc i waga mocno przybliżona, najczęściej otrzymujemy więcej, czasem mniej niż opiewa rachunek, ale są to wszystkie różnice kilkudziesięciu. Odpady bywają nierównej „jakości” tzn. z jednej dostawy — partii wykorzystujemy je w większym procencie w innej w mniejszym — a to wszystko czyni prowadzenie rozliczeń zużycia nierealnym, a równocześnie daje podstawę do podejrzenia, nieufności i posądzania o malwersację.

Jest rzeczą powszechnie w rzemiośle znana, że sklepom udziela się 30 proc. marży detalicznej zamiast zapisanej w rachunku obowiązującej w wysokości 20 proc. Na artykuły sezonowe, jeśli chce się je sprzedać, należy dawać 40 proc. rabatu, lub oddawać towar w komis. W momencie dostawy



Foto: W. Waszkowski

pierwszej partii rachunek wystawia się na całość, następnie w miarę wyprzedazy uzupełnia się już bez rachunku tzn. bez opodatkowania zarówno ze strony sklepu jak i rzemieślnika.

Wynaleziono podobno również sposób inny zabezpieczający przed niespodziewaną kontrolą w sklepie: wystawia się dwa rachunki, jeden na całość dostawy, drugi na 1/4—

1/5. Aż do wyprzedazy większej części trzyma się na wierzchu rachunek większy, następnie go się niszczy i zatrzymuje ten mniejszy.

Jak Polska długa i szeroka podobno wszyscy tak postępują, wszyscy o tym wiedzą i wszyscy... grzeszą w nieuczciwości.

świadczenie oszukują, bo proszę zastanowić się:

Jest rzeczą wiadomą, że rzemieślnik pracuje po kilkanaście godzin na dobę, że pomaga mu rodzina, że wkładać musi dużo inwencji i pomysłów, a więc jego zarobek rzędu 20—30 tys. zł miesięcznie nie powinien być szokujący. Z kilkunastu kalkulacji jakie sam wykonałem, bądź zacytuję z innych wynika, że zysk liczony łącznie z wkładem pracy rzemieślnika wynosi rzędu 25 proc. wielkości obrotu, a więc przy obrocie ok. 33 tys. zł miesięcznie daje to ok. 8 tys. zł. A przecież rzemieślnicy jakoby żyją i to nie najgorzej, budują domy, kupują samochody; widzą to wydziały finansowe, ustalają więc z czystym sumieniem wysokość podatku wg swego uznania, a nie w oparciu o wykazany formalnie obrót. Pokrycie tego podatku oraz osiągnięcie zysku adekwatnego do wkładu pracy — wymaga postępowania nieuczciwego — zakupywania materiałów bez rachunków, zatrudniania nieujawnianych pracowników, sprzedaży wyrobów bez rachunków itp. O nieuczciwe postępowanie słusznie posądzają rzemieślnika wydziały finansowe ustalając więc podatki wg swego uznania itd... Kółko się zamyka.

Czy nie czas najwyższy, aby je nareszcie przeciąć i powiedzieć „król jest przecież nagi”. Przecież do rzemiosła napływało i nadal napływa wielu uczciwych ludzi, nie zdemoralizowanych jeszcze postępowaniem wydziałów finansowych i nieświadomością jutrzejszych przepisów, którzy chcieliby uczciwie a przy tym proporcjonalnie do swego wkładu pracy i inicjatywy zarobić.

Na razie panuje nadal niestety w rzemiośle przekonanie, że nieuczciwość jest atrybutem niezbędnym przy prowadzeniu warsztatu.

Jakie byłyby środki zaradcze:

— należy skoncentrować starania, aby cała pula towarowa produkowana przez rzemieślników była ujawniana w postaci rachunków. Zaniechać dozukiwania się wykroczeń w sprawach błahych. Zaostrzyć sankcje za sprzedaż lub zaniechanie sprzedaży towarów bez rachunków

— zwiększyć do 25 proc. wysokość marży detalicznej

— podwyższyć pułap wysokości obrotu rocznego do 600 tys. zł i zmniejszyć stopień progresji podatku przy przekroczeniu tej sumy.

— obrót do wysokości 200 tys. zł w pierwszym roku prowadzenia warsztatu zwolnić od opodatkowania

— zaniechać konieczności prowadzenia bieżącej kontroli ilościowo-wartościowej dla materiałów odpadowych

— wprowadzić obowiązek sporządzania kalkulacji na produkowane wyroby przechowywane w aktach u rzemieślnika do wglądu dla ew. kontroli. Należy opracować ramowe wytyczne dla sporządzania takich kalkulacji.

— wystawiane przez rzemieślników rachunki wprowadzić jako druki ścisłego zachowania, wydawane np. indywidualnym rzemieślnikom przez Izby Rzemieślnicze

— znieść dowolność w wymierzaniu przez wydziały finansowe wysokości podatku, które kierują się dotychczas raczej narzucającym im ogólnym globalnym planem finansowym niż danymi z warsztatów.

A generalnie: starajmy się doprowadzić do powstrzymania dalszego demoralizowania się części społeczeństwa; uczciwość powinna zacząć się opłacać.

(nazwisko i adres do wiadomości redakcji)

OD AUTORA: Oba konflikty, które przedstawiam, wybuchły w tym samym środowisku i w tym samym czasie. Ale — choć w gruncie rzeczy są częściami jednego większego konfliktu — nie dadzą się opisać równocześnie. Bohaterem pierwszego jest młodzież, drugiego — jej wychowawca. Połączył ich opór przeciw środowisku, potrzeba protestu, udział w próbie sił, której terenem stała się szkoła. Jedną z wielu... Problem w tym, że w tej próbie strony mają nierówne szanse. Motywy działania zbuntowanych także są różne. Czy jednak różne do końca?

K L A S A

Przyszedł do redakcji we dwóch. Mogli mieć po 17 lat. Widoczna od razu ogłada sprawiła, iż pomyślałem, że mam przed sobą licealistów, i to w dodatku z tak zwanych „dobrych domów”. Ale po chwili okazało się, że są z „budowlanki”. Nie bardzo pasowali do wizerunku przyszłych murarzy...

— Dokładniej — powiedział któryś — jesteśmy z liceum konserwacji zabytków... Wyjaśnił też, że nazwa ta jest na wyrost, bo chodzi o pion konserwacji w ramach Zespołu Szkół Budowlanych nr 2. Stworzono go 3 lata temu, z inicjatywy nowo powstałego Oddziału Pracowni Konserwacji Zabytków.

Byli z pierwszego rocznika tej szkoły. Za 2 miesiące mieli skończyć trzecią klasę; w przyszłym roku czekała ich matura. Ale zamiast satysfakcji, że połowa szkoły „z głowy” i dojrzałość za pasem, ze słów ich popłynęły gorycz, rozczarowanie i żal. Kontrastowało to z ich wiekiem, w którym przecież dopiero rodzą się poważne plany i wielkie nadzieje...

O SOBIE:

— Starłem się do liceum morskiego, ale spodobala mi się ta szkoła. Tak ją zachwalano, uwierzyłem w obietnice.

— Naprawdę chciałem pracować w tym zawodzie. I nawet nie zaczęwszy — zawiodłem się.

O PROGRAMIE:

— Jak by pan przyszedł na lekcję i postuchał, to by się pan uśmieł. O sztukatorce dowiadujemy się tylko w teorii.

O PRAKTYKACH:

— W pierwszej klasie miała być oddana pracownia konserwatorska. Dopiero po dwóch latach dali nam salę. Położyliśmy na stołach płyty, no i lepimy sobie...

— W tym roku mielibyśmy jechać całą klasą na praktyki do Lublina, prawdziwe, sztukatorskie. Ale PKZ nas nie puścił, bo koszty...

— Zapewniano nas, że będzie praca w Łodzi. A w rezultacie wyrównujemy teren, nosimy deski i paczki, zamykamy po majstrach.

O PRZYSZŁOŚCI:

— Nie wiemy co z nami będzie. W pierwszej klasie mówili: „Skończycie szkołę, będziecie rozchwytywani”. A teraz, że PKZ nie mają dla nas roboty i że pójdziemy jako murarze, tynkarze... „Nie martwcie się, umiecie już mieszać gips, możecie ruszać w Polskę”. PKZ najchętniej wysłałby nas na koniec świata. A przecież tę szkołę zakładano dla Łodzi!



„Murarz, artysta czy murarz-artysta?”

Foto: R. Łucyszyn

Reszty miałem dowiedzieć się na specjalnym zebraniu, zorganizowanym — trochę konspiracyjnie — przez grupę młodzieży z klasy III Liceum Zawodowego i Radę Klasową Rodziców. Zaproszono na nie przedstawicieli kierownictwa szkoły.

W normalnym, wywiadowkowo-apelowym systemie miało to być spotkanie bez precedensu. Uczniowie — obawiając się reakcji Rady Pedagogicznej — poprosili mnie o zachowanie incognito. Jak na rok przed maturą i panującą w szkole atmosferą — i tak zastanawiająca była ich determinacja. Prośba uczniów — choć wtedy jeszcze nie wiedziałem, że sprawy zaszły tak daleko — była sygnałem, że nie mają zaufania do nauczycieli (z wyjątkiem jednego wychowawcy).

Dyrekcja i pozostali nauczyciele mieli mi to potem za złe. Wdepnąłem w sam środek zaoogniających się od miesięcy, od lat, konfliktów. Problemy te nauczyciele uznawali za wewnętrzne sprawy szkoły; nie chcieli, by o nich wiedziała młodzież. Mogłoby to odwrócić jej uwagę od najważniejszego celu — nauki. Mo-

głoby też — dodam — narazić na szwank autorytety.

Ale skoro coś niecoś już do uczniów dotarło? Skoro po 3 latach w tej szkole, niemal u progu egzaminu dojrzałości, zapragnęli wpłynąć na swój los? Jeśli osiągnęli już stan, w którym wszelkie słowa i autorytety przestają znaczyć? Jeżeli życie w szkole odebrało im inicjatywę i entuzjazm?

Ich wychowawca opowiedział mi: — Zapytałem kiedyś, dlaczego są tak mało aktywni? A oni mówią: „co się będziemy wysilać! Nas bez przerwy się tylko rozlicza, co zrobimy — to źle. Ciągłe słyszymy: tni są aktywni, a wy? Uczniowie chodzą po ścianach, bo się boją. Nie mają do kogo pójść, porozmawiać. W administracji nie się nie załatwi, w sekretariacie są opryskliwi, ten spławia, tamten — pokrzykuje. Dyrekcja trzyma nas twar-

dą ręką; co innego mówi nam, a co innego potem ze sobą, w gabinetach, więc nie chce się nawet chodzić do niej za sprawą... Ale od tego trzymania nie przybywa, ani dyscypliny, ani porządku, tylko — strachu...”

6 maja poszedłem zobaczyć to miejsce, które rodzi siedemnastoletnich frustratów. Przyszła cała trzecia klasa i spora część drugiej, przybyli rodzice i dyrekcja. Nie stawili się tylko — mi-no zaproszenia — przedstawiciele PKZ.

Dyskusja trwa trzy godziny, jest dramatyczna i dosyć beznadziejna. Uczniowie oniemiałymi — jakby przetrzaszali się własnego pomysłu.

Zaczynają rodzice: Kto spowodował, że szkoła powstała? Bo właściwie wyszło na to, że kierunek powstał, a ludzie są niepotrzebni. Czy nasze dzieci — pytają — mają przez to stracić? Co będą robić po szkole? („Podawać cegły” — podpowiada cicho jakiś „dowcipny” ojciec...).

W jednej chwili wylewają się gromadzone przez 3 lata żale i niepokoje.

— Nasze dzieci po 3 latach nauki nie mają zielonego pojęcia o tym, co robią konserwatorzy! Od pierwszej chwili byliśmy wprowadzeni w błąd.

— Trzeba było w pierwszej klasie rozwiązać tę szkołę, jeśli nie była przygotowana. I po co się kłamało?

Wstaje dziewczyna: drobna, delikatna, w okularach i z warkoczem. Wygląda raczej na uczennicę klasy skrzypiec. Pyta:

— W naszej klasie jest 12 dziewcząt. Co z nimi będzie? („Będą murarki” — rzuca znowu dowcipniś, ale szybko milknie: dziewczyna ma lzy w oczach).

— Pracy nie ma, a na studia zdawać nie mogą, bo za słaby mieli program historii — skończył się w drugiej klasie, a cały kurs chemii przerobili w pierwszej.

głosy: Trzeba im to było 3 lata temu przeczytać! W ogóle to się pierwsze słyszy!

— Ogłosiliśmy nabór do tej szkoły — przypomina dyrektor, pan W. — i powiedzieliśmy otwarcie, że jest to szkoła dla chłopców i kogo będzie kształcić. Ale od początku były nieporozumienia. Wszyscy uważali, że wypuścimy stąd wielkiej klasy artystów... Ministerstwo w ogóle nam zabroniło przyjmować dziewczęta.

— Ale panie dyrektorze — krzyczy jedna z matek. — Przecież pan sam mówił na pierwszym zebraniu, że dziewczynki będą przyjmowane!

— Do czego? — dyrektor jest zdumiony. — Pod naciskiem rodziców przyjmowaliśmy! Bo wyście państwo mnie zapewniali, że one nadają się tylko do tego zawodu.

— Tak było podane w gazecie!

— Prostowaliśmy! A mimo to — jak w se-

złym roku przestaliśmy przyjmować — było 12 odwołań do kuratorium. W tym roku też się dziewczęta pchały. I mamy mnie przekonywać: „To są urodzone artystki”. A ja, że ta szkoła, to twarde murywanie... A one znowu — żeby przyjąć, na ich odpowiedzialność...

Później wychowawca III LZ, Andrzej S., powie mi: — Byłem przeciwny tworzeniu nowej szkoły z odprysków uczniów, którzy nie dostali się gdzie indziej. Dużego naboru do tej szkoły nie było z braku reklam. Mówiłem: „reklamujcie, to będziecie mieli lepszych uczniów! Nie chcieli i to jest zrozumiałe, bo jak reklamować coś, co jest fikcją...? Nie wszyscy przyszli ze względu na rangę, która szkoła miała reprezentować. Część uczniów składała papiery do technikum budowlanego, dokąd przyjmowali się najlepsi, zgodnie ze szkolną hierarchią. Nie miało być dziewcząt, ale gdy część chłopaków się nie zło-siła — niektóre wepchnięto na siłę. Podobnie jak dwóch 18-latków, którzy zmienili już kilka szkół — przeciw czemu protestowałem, ale bez skutku...”

W sprawie pracy dyrektor nie może nic obiecać:

— Czy zatrudnią wszystkich absolwentów w PKZ? Głowy nie dam. Przecież wszyscy nie wiemy jaka będzie sytuacja z zatrudnieniem. Podnosiliśmy tylko sprawę. Władze zapewniały, że choć będą pewne wahania, fachowcy w tym kierunku są potrzebni...

W sprawie studiów (konserwacja zabytków na UMK w Toruniu):

— Nie wiem dlaczego uważacie, że nie będzie mogli zdawać? Wasze świadectwo dojrzałości niewiele się będzie różnić od tego z LO.

Przerywa mu szczupły chłopak:

— Czy w ciągu jednej godziny tygodniowo można się wystarczająco nauczyć chemii? Czy można odrobić straty z historii?

Dyrektor denerwuje się: — Trzeba chodzić na zajęcia fakultatywne, albo do kół zainteresowań... Mój drogi, nie jak uкладаłem program. Taki macie, kochani, taką szkołę wybrałiscie!

Ktoś wywołuje sprawę wycieczek, które w tego typu szkole powinny pełnić ważną rolę (uzupełniać wiedzę o historii, zabytkach). W ciągu 3 lat klasa była tylko raz, czuje się pokrzywdzona. Przewodniczący Komitetu Rodzicielskiego wyjaśnia, że klasa III LZ nie jeździ, bo źle się uczy i nie bierze udziału w życiu szkoły. A wycieczki — to nagroda. Wychowawca dodaje z ironią, że w pierwszej klasie młodzież nie pojechała, bo była zajęta przy przygotowywaniu uroczystości nadania szkole imienia. I na to szły fundusze...

(Potem Andrzej S. dopowie: — Jak! Był wtedy w szkole cykl! Moja klasa przez 3 miesiące się nie uczyla. A na koniec i semestr miała 96 dwójek; była przedostatnia w szkole).

Poza tym — ciągnie wychowawca — to wtedy zginęły zwolnienia lekarskie z dziennika. Posądzanie padło na moją klasę. 6 uczniom obniżyłem oceny ze sprawowania. Po 3 miesiącach znalazłem w okładce wszystkie zwolnienia. Był koniec roku...

(Dzisiaj zadaje sobie pytanie: — Czy ktoś to wtedy inspirował, celowo sobie ze mną „zagrał”, chcąc mnie ośmieszyć?).

W sprawie pracowni dyrektor W. nie ukrywa swego dobrego samopoczucia. — Nasze pracownice są bez chwalenia najlepsze w Polsce. To co pisano w prasie, było prawdą... Również na temat pracowni konserwatorskiej dyrekcja ma własne, wyrobione zdanie. Jest zębna... — Kielnia, cegła, wapno! — to jest to! To pierwsza klasa: twarde życie, twarde, sytuacje. Wiedziałem różne pracownice i stwierdzam, że nasze rozwiązanie jest jedyne w Polsce, bardzo dobre — zapewnia dyrektor.

Dowiadujemy się na czym polega to świetne rozwiązanie. Otóż po prostu — z braku pracowni w szkole — zorganizowano praktyki na budowach PKZ... Ale jakiś uczeń wstaje i mówi:

— Mieliliśmy praktyki w kamienicy na Piotrkowskiej, ale zdjęto nas stamtąd wcześniej. Dlaczego? (wg wersji nieoficjalnej, przekazanej mi przez uczniów — oskarżono ich, że kradną elementy). — Sprawa jest prosta — odpowiada dyrektor. — Były strajki, waliła się dyscyplina, brakowało materiałów. Sytuacja przynosiła. Dyrektor PKZ obawiał się o młodzież...

Chłopcy jeden przez drugiego wykrzykują, czym zajmowali się na tej praktyce. Ale i na to dyrektor ma gotową, autorytatywną odpowiedź: — A czy wam jest potrzebna praca w reklamówkach? Wam potrzebny jest brud, kurz, takie warunki, w jakich będziecie pracować na szkole. Twarde życie i my je stawiamy przed wami! — W którymś momencie dyrektor przyznaje jednak, że żałuje, że nie hosi-tował budów.

— Szkoła! — komentuje to ktoś. Zdążyli poznac kawałek tego „twardego życia”. Przeganianie z kąta w kąt, zbeźdnie, lekceważenie, występowanie się majstrami. Mogli tylko podglądać. — Łódzkie PKZ są parodią jakiegos zakładu —

powiedzą mi potem. Napatrzili się...

Za parę dni znowu mają iść na praktyki. Nie wiedzą jeszcze dokąd. Co prawda umowa została podpisana miesiąc temu...

— PKZ mają ograniczone możliwości i początkowo nie chciały w ogóle przyjąć dzieci — wyjaśnia wicedyrektor G. — Nie wiedzą na czym dziś siedzą i czy im budowy nie zamkną na jakiś czas.

— Ale tym razem chodzi o praktyki specjalistyczne!

— Są przyrzeczenia z PKZ — niepewnie tłumaczy dyrektor — że młodzież będzie wchodzić do pracowni konserwatorskich...

Byli w Byszewach i w łódzkim Bielniku. Obiecywano im to samo. Nie mają już złudzeń. Później okazuje się, że 10 osób z klasy nie może pracować na wysokości. Rodzice: — Dlaczego lekarz nie zbadał ich przed przyję-

ciem do szkoły? Dlaczego szkoła ich przyjęła? Robi się gorąco. Dyrektor zrzuca odpowiedzialność: — Nie było przeciwwskazań! Gdyby lekarze ze szkoły podstawowej wywiązywali się ze swych obowiązków, nie byłoby problemu. A wyście jako rodzice co zrobili w tym kierunku?...

Rodzice odpowiadają zarzutami. Wymiana oskarżeń. Gdy cichnie, głos znowu zabiera dyrektor. Obiecuje, że tym razem nauczyciele będą sprawdzić jak pracuje młodzież...

— Chciałbym jednak — podnosi głos uroczysto — byćście pamiętali, że chodzicie do szkoły, która ma tradycję! Mam nadzieję, że przyniesiecie szkole chlubę!

Tę mowę przerywa trzęsivo któraś z matek: — Co właściwie potrafia robić nasze dzieci?

— Nic! — słychać od stolika młodzieży. — Choć pięknie mamy tematy powpisywane do dzienników. Na papierze!

— Robimy wciąż te same rzeczy, ciągle jeden temat...

Instruktor podaje temat, siada przy biurku i mówi tylko: „to nie, tamto nie...”. A chodzi nam o to, żeby ktoś pokazał jak się to robi. Co imitujemy naszą pracę? Na stole leży polamana rozeta. Nie wiemy po co. Bo na tym nie możemy się wzorować, ani robić gipsowych odlewów. Czy nie można załatwić porządnego modelu? To wszystko jest szmele przyniesiony ze śmietnika.

Jeden z uczniów zapęda się trochę ryzykownie...

— Na jakiej podstawie pan instruktor D. ocenia nasze prace? Co reprezentuje sobą instruktor Ch., bo nic nie pokazuje, a dużo wymaga? Sami musimy wszystko odczytywać z rysunków!

Ktoś inny wali wprost, zupełnie już ośmielony: — Zaczynamy pojechać w Polskę! Przecież ośmieszmy swoją szkołę! MY NIC NIE UMIE-MY ROBIĆ!!!

Wśród rodziców gotuje się... — Słuchajcie — zwraca się do uczniów dramatycznie matka, głos jej drży: — Czy widzieliście jak wygląda kamień do lastryka? Czy wiecie jak się szlifuje?

— Nie wiemy — pada odpowiedź. Matka na to:

— Zwykły murarz potrafi lastryko wyszlifować! — i siada całkiem zdruzgotana...

Dyrektor lekko gubi się, zażenowany tym testem, całą tą sytuacją: — Mają zajęcia! — woła. — Teoretycznie! — odbija młodzież. — Ale tu chodzi o praktykę! Robi się tumult.

Uspokaja się nieco dopiero po dłuższych wyjaśnieniach kierownika warsztatów pana J. Rysuje on przed oczami rodziców ponury obraz codziennych trudności warsztatów. Wtórkuje mu instruktor Ch., który również narzeka na dyscyplinę.

— Uczniowie — skarży się — wyskakują na piwko, papieroska!

Po wystąpieniu kierownika dyrektor W. proponuje korzystając z dostarczonych przez niego argumentów — wbić klin między rodziców, a młodzież, dotąd atakujących solidarnie. Dyrektor zarzuca uczniom celowe nieinformowanie rodziców o kłopotach warsztatów. — Wspólnie! dyskusji jest za mało — moralizuje. A po to są rodzice, żeby o wszystkim im mówić...

Udało się! Na zaczepnym monolicie pojawia się pierwsza rysa... Rodzice nie kryją żalu do dzieci. Wykorzystuje to dyrektor i rusza do pedagogicznej szarży:

— A niech mi teraz ktoś z was — jak pan instruktor spyta czemu nie był na zajęciach — odpowie: „co to pana obchodzi?”, to wyleci ze szkoły! — wybuchła groźba. Cisza straszna zapada, „dzieci” kulą się w sobie. Dyrektor, sprawdziwszy wrażenie, upewniony w przewadze dodaje jeszcze:

— Zapewniamy swoją obecność na zajęciach, ale nie chciałbym, żeby ktoś się nadział. Dyscyplina musi być znakomita! Wtedy nie będziecie głupstw pleść rodzicom...

— To nie jest strasznie — dodaje po pauzie, stwierdzając, że zagalopował się nieco. Ale już nikt mu nie wierzy. Podobnie jak deklaracją, że „to co nieprawdliwe, będzie naprawione”. Długim sznurem toczące się „okrągłe” słowa budzą szum niepokoju wśród uczniów. Najwyraźniej nie tego oczekiwali. Wciąż brakuje konkretnych, próby zbliżenia dyrekcyi. Zamiast tego belferska, „dętwa mowa”, samozadowolenie, próby zamazania sytuacji, która jest rozpaczalna. I przetrzucanie całej winy na uczniów... Część z nich zbija w gromadkę dyskutuje między sobą poruszoną. Zebrani rozwijają temat przydziałów roczników, mydla i ścierek. Jakaś dziewczyna mówi: — Chodzę na praktykach w tym samym co po ulicy. Ręczników nie dostajemy. Ubranie robocze ma służyć nam przez 4 lata! Dyskusja ześlizguje się na boczne tory i traci impet, wkrada się chaos,

wszyscy są zmęczeni. To już trzecia godzina. Dyrekcja — widząc to — chce kończyć. Ale koniec — niezależnie od tragicznego przebiegu spotkania — musi być — obowiązkiem — „optymistyczny”...

Pierwszy startuje szef Komitetu Rodzicielskiego. Wyraża uznanie dla odwagi młodzieży. Apeluje o „solidną pracę i naukę”, ku chwale ojczyzny. Brakuje tylko „Kochajmy się!”...

Za nim podąża dyrektor, któremu w ostatniej chwili udaje się przerwać rozpędzające się przemienne przemówienie wychowawcy (daje w nim m. in. do zrozumienia, że wie o różnych sprawach dziejących się w warsztatach. — Sięć wiem — mówi. — Bo uczniowie mi przekazują na lekcji wychowawczej. A dlaczego? Bo pozwalam im mówić i nie straszę... — wywołuje to konsternację). Dyrektor — wobec braku przewodniczącego obrad — przejął inicjatywę. Raz jeszcze „podsumowuje” zebranie. Zapewnia o swym „poważnym stosunku”, o „konstruktywnych wnioskach”, o „trosce”.

— Jest to jedyna klasa w szkole — podkreśla — której tyle czasu poświęcam. Ale jestem przekonany, że była taka potrzeba.

Nauczyciele opuszczają salę z wyraźną ulgą. Rodzice przycichli, nie widząc zadowolenia. By rozładować się, oskarżają pociechy o małą aktywność. Te wyrzucają to samo im...

Młodzież rozchodzi się powoli, z ociąganiem, jakby jeszcze czekała na coś. No bo tak: pogadali sobie, ale czy załatwili cokolwiek? Widzą swój błąd — słabo przygotowali pytania. Może lepsza byłaby lista postulatów? Niezadowolone, nie kryją także obaw przed skutkami spotkania. Czy nie skończy się to po prostu „przykręcaniem śrub”? Gorzki osad tłumi szczytę nadziei na poprawę.

Opuszczam szkołę, również nie mając jasnej odpowiedzi na szereg podstawowych pytań. Czy Zespół Szkół był przygotowany do prowadzenia nowego kierunku konserwacji zabytków? (dyrektor W. powie mi później, że „przygotowuje się cały czas, powstał przecież niedawno”). Dlaczego PKZ nie wywiązują się ze zobowiązań, jakie przyjęli na siebie, współorganizując szkołę? Skąd ten brak zainteresowania młodzieżą, która rzekomo ma stanowić przyszłość ginących zawodów? Dowiaduję się potem, że w pierwszym kwartale br. — po raz pierwszy w ciągu 30 lat — PKZ nie wykonał planowych zadań i jeśli nie nie ulegnie zmianie na lepsze, to pod koniec II kwartału zabraknąć może pracy dla około 2 tys. pracowników! (pozostanie zabezpieczenie obiektów, no i zawsze obciążony eksport fachowców).

I dlaczego dyrekcja szkoły zachowuje się tak, jakby podrzucono jej kukulczę jajo, z którym teraz musi męczyć się, bo może tak chce ministerstwo?

W szkole opinia na temat spotkania jest jednoznaczna. Dyrektor nie waha się nazwać je przy mnie „cyrklem” i nawet nie stara się zważyć na to, co mówił wobec młodzieży i rodziców. Mając w uszach tamte jego „pozytywne oceny” i „konstruktywne wnioski” myślę: nie pamięta, czy też wygłaszał je nieszczercze? Natomiast z wypowiedzi jego zastępcy notuję:

— To była żenująca sprawa! Nie będziemy się wypowiadać o zachowaniu rodziców, ale brak szacunku dla nauczycieli, dyrekcji, nieważność zwracania się do nas, sposób stawiania pytań — np. o kwalifikacje instruktorów — to wszystko nie pozwala nam być objętym! Byliśmy strasznie upokorzeni.

Przebieg spotkania surowo ocenili również Rada Pedagogiczna. Znam to dyskusję. Miałem też okazję spotkać się z radą osobiście i bezpośrednio poznać poglądy nauczycieli.

Wielu z nich nie mogło dać wiary, jak w ogóle doszło do tego typu spotkania, na które „zaprasza się dyrekcję, a potem ubliża jej”. Postawiono zatem wniosek, aby nigdy nie dopuszczać do podobnych konfrontacji, chyba, że poprzez powołanie w imieniu rady delegacji. Niektórzy pedagogowie mieli wyraźnie za złe dyrekcji, że zgodziła się spotkać z — że po zostanie przy słowniku pani wicedyrektor G. — „dzieci”. Ktoś twierdził, że dla wyjaśnienia poruszonych na zebraniu spraw wystarczyłoby dobrze przygotowany wychowawca. Nie brakło głosów „twardych” zaskakujących — w tym gronie — przesadnych emocji, były też bardziej rozważne wnioski (np. że współpraca z rodzicami „leży”). Ale przeważały emocje.

Emocje te wzięły się z oceną klasy III LZ i jej wychowawcy. Andrzej S. Klasa ta od początku stwarzała dużo kłopotów wychowawczych, a to dlatego, że była zlepką bardzo różnych uczniów (przy czym lepsi ją szybko opuścili), dobranych przypadkowo w „konkursie świadectw” (acz nie brakło i takich z „dwójkami”), także drugorocznych, którzy mieli odegrać niechlubną rolę inspiratorów różnych działań młodszych kolegów, np. pobicia — samosądu nad rzekomym „donosicielem” — „wtyczką” wychowawcy (który dziś podejrzewa, że i inspiratorzy mieli swoich inspiratorów).

— Było tam wielu, którzy chcieli żyć latwym chlebem — powiedział mi dyrektor W. Toteż „odpad”. Jak określał był duży Z 36 osób, które rozpoczęły naukę, zostało 26 (a w chwili gdy piszę te słowa, do IV klasy promowanych jest 24).

— W klasie gotowało się i gotuje nie od dziś — słyszę — Im się ciągle coś nie podoba. Mają kłopoty nie z przedmiotami zawodowymi, a ogólnoszkolnymi. Klasa nie pracowała i nie pracuje — konkluduje dyrektor.

(Wie pan — doda Andrzej S. — Ta klasa mogła być jedną z lepszych, w nauczaniu, byli i są w niej przecież i zdolni. Ale część z nich przeniosła się do innych szkół, a część zamiast podlegać słabszym, równała do przeciętnej... Włec jest tak że od początku zadawała się trójkami... Myśmy stwierdzili — powiedzieli mi kiedyś — że od pewnych nauczycieli i tak więcej nie dostaniemy”. Zaden z chłopków w ciągu 3 lat nie wykazał się tym, czym moi. Była robiona ankieta, z której wynikało, że młodzież ta 25 godzin tygodniowo spędza przed telewizorami! Wygarnalem to im i rodzicom... Myśle jednak, że może byłoby lepiej, gdyby pozwolono mi działać jako wychowawcy, tak jak chciałem...).

Poglad dyrektora poszerza spotkanie z Radą Pedagogiczną. Nie jest łatwe ani przyjemne, rada bowiem zostaje niemile zaskoczona moim pojawieniem się w szkole. Próbowalem wyjaśnić, że celem nie jest szukanie sensacji, lecz

prawdy o sytuacji i przyczynach postawy młodzieży, i że towarzyszy mi w tym zasada „audiatu et altera pars”, czego dowodem właśnie to spotkanie. Nauczyciele nie bez oporów przełknęli te wyjaśnienia, po czym opowiedzieli mi o III LZ i jej wychowawcy:

— Klasa nie przysparza trudności wychowawczych, natomiast nie uczy się notorycznie. Ośmiu osobom grozi dwójki z języka polskiego...

— Jedna z matek powiedziała mi o swym synu, że jeszcze nie miał w tym roku książki w rękach!

— Młodzież to trudna. Co prawda, prowadzących usunęliśmy... Nauczyciele mogą się poszczycić wynikami swej pracy z tą młodzieżą. Arogancki i lekceważący stosunek do nauczycieli stał się łagodniejszy. Ale może to wobec perspektywy matury nie chcą się narażać?

— Podobno w obecności rodziców i dyrekcji rozmawiali rozwaleni w krzesłach. Ze mną tak nie rozmawiali! I podziwiam rodziców, że nikt nie zareagował!

— Wychowawca twierdzi, że młodzież jest dorosła i powinna sama decydować. Ale ta klasa nastawiona jest raczej konsumpcyjnie. W konkursie na najlepszą klasę nie chce brać udziału. Idzie po linii najmniejszego oporu. Nie chce chodzić na dodatkowe zajęcia o postępie i racjonalizacji. Na zarzuty picia piwa w przerwach warsztatów odpowiada arogancko.

— I pomyśleć, że dwóch uczniów, mających dwójki, zakłada Koło Związku Młodzieży Demokratycznej, a na tablicy piszą, że ich idea jest się uczyć...

— Na mojej lekcji dzieci odmówiły pisania pracy, bo były akurat strajki...

— Młodzież nie powinna czytać gazetek „Solidarności”...

Zastanawia mnie w tych — i innych — wypowiedziach brak głębszej analizy przyczyn postaw młodzieży. Dziwi mnie niechęć do mówienia o sposobach wyprowadzenia klasy z krytycznej sytuacji. — Jest to zadanie wychowawcy — mówią inni nauczyciele — a tymczasem to on jest inspiratorem fatalnych postaw! Zarzucają mi to, że zdobył zaufanie młodzieży („tania popularność” — jak mówią niektórzy) — np. posługując się efektywnym szyldem przewodniczącego szkolnej „Solidarności”, współpracownika MKZ — i robi z tego niewłaściwy użytek. Zaszczepia młodzieży nonszalancką, lekceważący stosunek do innych pedagogów. Wciążą ją w rozgrywki między nauczycielami i swoje własne — z dyrekcją. Manipuluje uczniami, podburza przeciwko kolegom-nauczycielom, balamuci, wręcz demoralizuje! A wszystko to latwym kosztem, za cenę nauczycielskich autorytetów!

— Klasa sama z siebie tak się nie zachowuje — przekonują mnie koledzy Andrzeja S. — Ale ma oparcie w nim, które daje się tworzyć z przodu przeciwko nam... Jeden z nauczycieli dostrzega w tym „dalszy ciąg działalności skierowanej na zewnątrz szkoły”, w której Andrzej S. posługuje się rękami uczniów i pedagogów. — Kolega S. wypuszcza młodzież przeciwko nam w ramach specjalnie pojęowanej odnowy — zauważa.

Dyrektor W. w rozmowie ze mną zarzuca 38-letniemu wychowawcy „pajacowanie przed młodzieżą”. — A młodzież — mówi — jest łasa na te historie. A potem wymyka się i staje okoniem. Zaczyna ignorować nauczycieli. Nie można stworzyć jej takich cieplarnianych warunków...

Nie brak w tej szkole zwolenników kursu „twardych ręki”. Z drugiej strony zapewniają mnie, że klasie III LZ i wychowawcy poświęcili wiele czasu i wysiłku. A jednak — słuchając tych oświadczeń — mam wątpliwości. Czy czasem rada nie przesłała nabyt szybko nad losem klasy do porządku dziennego? Czy w istocie tak wielką winą można obarczać wychowawcę? A może jest trochę prawdy w tym, co mi powiedział: że licem konserwacji zabytków — dziecko najwidoczniej nie chce — nigdy nie cieszyło się specjalnym pedagogicznym zainteresowaniem? (wyprowadza je Technikum Budowlane a nawet — z racji opiekunstwa pani wicedyrektor G. — szkoła zasadnicza). Z części głosów nauczycieli wynika, że w działalności pedagogicznej istnieje dająca się określić granica owo „maksimum czasu i cierpliwości”, poza którym i czas i cierpliwość wyczerpują się: pedagog stwierdza bezsensowność wysiłków i rezygnuje. Czy tak jest rzeczywiście? Czy można określić kres nauczycielskiego trudu?

Może jestem idealistą (na pewno), ale czegoś mi zabrakło. Nie, nie uderzenia się w zmczone, przez wiele lat nie dokarmiane, a za to obciążane nadmiernie, nauczycielskie piersi... Ale czegoś konstruktywnego. Próby uświadomienia sobie konieczności zmiany stosunku wobec uczniów, może też zmian w strukturach. Stowem, promyka nadziei, poza jednym nader ostrożnym zdaniem o potrzebie poprawy praktycznej nauki zawodu... Nikt np. nie zauważył że założone przez krytykowanych uczniów Koło ZMD może być szansą wychowawczą. Tak samo — samorząd uczniowski. Bo na razie uczniowie tylko wstrząsają ramionami, gdy pytam, czy do tych samorządnych szkolnych form dotarli już powiew reformy.

Na spotkaniu z dyrekcją dowiedziałem się, że klasa III ucieka z praktyki (mogłaby to być niemal wymarzona puenta, gdyby nie moje wątpliwości). Następnego dnia zjawilo się w redakcji kilkanaście dziewcząt i chłopców. Przyszli — niemal wprost z wagaru — aby zaprosić mnie na... praktyki w palacu Herbsta, które — jak mi powiedzieli — nie różnią się od poprzednich. — Zobacz pan jak tam pracujemy! — rzekł jeden z chłopaków z ironią. Gdy powiedziałem, że wiem o ich ucieczce, byli zaskoczeni, tłumaczyli się nieco dziesięcinie... Ale — przyznaję — daleki byłbym od oskarżania ich. Czy — tylko ich? Wciąż bowiem nie potrafię odpowiedzieć na kilka pytań. Więc: gdzie i dlaczego do wszystkiego się zaczęło? I kogo naprawdę trzeba za to winić?

ZBIGNIEW KORZENIOWSKI

NAUCZYCIELSKI dach nad głową

Mówi się głośno i często pisze w prasie, o absolwentach uczelni wyższych bezskutecznie poszukujących pracy. Dla wielu kierunków nie ma jej nawet w szkolnictwie — dla polonistów, rusycystów, historyków, biologów, chemików, a także germanistów, anglistów i romanistów. Dotyczy to zwłaszcza Łodzi. W innych miastach naszego regionu ta asortymentowa lista nadwyżek nauczycielskich może być mniejsza. Wciąż bowiem aktualny jest niedobór nauczycieli wychowania: początkowego, technicznego, plastyki i muzyki. Brakuje też przedmiotów, o przepraszam, dziś mówi się „nauczycielek wychowania przedszkolnego”.

W Łodzi nauczycieli jest nadmiar, absolwenci kierunków szkolnych poszukują pracy, natomiast szkoły położone o kilkadziesiąt kilometrów za granicami miasta czekają, mają wolne etaty. Potrzeby kadrowe zgłaszają nasi sąsiedzi, woj. piotrkowskie, sieradzkie, skierniewickie, pockie, wloclawskie. W tym roku szkolnym niedobór kadr nauczycielskich wzrasta, szczególnie w szkołach wiejskich. Przyczyna są odejścia na emerytury i renty (początek szczytu emerytalnego wśród nauczycieli) oraz zmniejszenie od 1 września pensum obowiązkowych godzin zajęć (np. w szkołach podstawowych z 26 do 22 godzin lekcyjnych tygodniowo). W rozporządzalnym się roku szkolnym, w skali kraju, oświata oferuje 16 tys. wolnych miejsc pracy. Każdy więc z tegorocznych 9 tysięcy absolwentów uniwersyteckich kierunków nauczycielskich i wyższych studiów pedagogicznych ma możliwość podjęcia pracy. Mówi się jednak o braku pracy i jednocześnie po krótkim przeszkoleniu wakacyjnym, zatrudnia się nawet dziewczyny legitymujące się zaledwie świadectwem maturalnym przede wszystkim na wsi, gdzie czeka 10 tys. wolnych etatów.

Nawet w oficjalnych materiałach rządowych stwierdza się, że od dłuższego czasu dopływ absolwentów szkół wyższych do szkół i innych placówek oświatowo-wychowawczych na wsi nie jest zadowalający. Od lat obserwuje się niedostateczne zainteresowanie pracą na wsi. Przyczyna? Oczywiście, brak mieszkań.

W tym miejscu godzi się przypomniać, że zgodnie z kartą praw i obowiązków nauczyciela oraz starą tradycją (nie tylko w naszym kraju, we wsiach i osiedlach do 2 tys. mieszkańców, pedagogom przysługujące mieszkanie bezpłatnie. Bo dla nauczyciela mieszkanie to drugi warsztat pracy. Tu przygotowuje się do lekcji, tu poprawia sterty zeszytów, tu prowadzi stałe potrzebne samokształcenie. To jeden z najważniejszych elementów, który decyduje o tym czy młodzi ludzie podejmą pracę na wsi. Śmiem twierdzić, że w tej chwili na nie się zda nawet powołany decyzją rządową specjalny fundusz, z którego nauczycielom podejmującym pracę na wsi udzielana będzie pomoc finansowa na zagospodarowanie. Przypomnę, że (i tu cytuję za komunikatem PAP), „udostępniana będzie ona w formie kredytu bankowego, który może być umorzony, jeżeli nauczyciel-kredytobiorca przeprzeuje sześć lat od daty otrzymania kredytu”.

Dotyczy to nauczycieli młodych, przychodzących na wieś, to wynika z kontekstu komuni-

katu. A aktualni nauczyciele wiejscy? Wielu, zwłaszcza absolwentów studiów zaocznych, po zrobieniu magisterki ucieka ze wsi. Najczęściej tłumaczą się brakiem mieszkania.

Jak zatem mieszkają nauczyciele wiejscy? Sprawę zbadałem na terenie woj. piotrkowskiego.

Rozprza. Budynek wymaga pilnego remontu kapitalnego. Więz dachowa jest już w ruinie. Nie ma wody bieżącej. Ogrzewanie piecowe — bardzo kiepskie. Grzyb. Podobnie mieszka tu wielu nauczycieli. Najwięcej dojeżdża z Piotrkowa.

Podobnie złe warunki mieszkaniowe widziałem w wielu innych wsiach. Mieszkania kwaterekowe, czy też wynajmowane w szkołach lub wiejskich chałupach, wołają o pomoc do nieba. Z podziwem patrzyłem na ludzi, którzy w nich mieszkają. Trzeba mieć wiele hartu ducha, wiele zapału do pracy, aby godzić się na to uraganie wszelkim prawom do godziwego życia i odpoczynku.

Rzadko zdarza się, by przy szkole były mieszkania dla zatrudnionych w niej nauczycieli. Jeśli są, to jedynie dla jednej, dwóch rodzin.

A oto inne uwagi zanotowane w toku mojej wędrowki reporterskiej.

Gmina Lubochnia. Od lat nie można uporać się z remontem domu mieszkalnego wybudowanego przed laty dla nauczycieli.

Rzecznica ma problem z uzyskaniem działek pod budowę domków nauczycielskich. Są chętni.

Wolbórz. Mimo budownictwa gminnego, ciągle jeszcze 13 nauczycieli czeka na mieszkanie. Mieszkają u rolników. Brak mieszkań (nawet tych kątem) dla czterech nauczycieli, którzy winni być przyjęci do pracy.

W gminie Rokietny podobnie.

Paradyż. Na 55 nauczycieli połowa mieszka u rolników bez podstawowych wygód, często z przejściem przez pokój lub kuchnię gospodarza. Wprawdzie w Paradyżu buduje się 3-rodzinny dom nauczyciela, ale od kilku miesięcy roboty stoją w miejscu. Brak środków na dalszą pracę.

Wielu nauczycieli tej gminy należy do spółdzielni mieszkaniowych w Piotrkowie, Sulejowie i Końskich, a nawet w Kielcach. Jestem pewien, że po otrzymaniu tam mieszkań zrezygnują w szkole wiejskiej. To zrozumiałe. Trudno dojeżdżać codziennie tyle kilometrów.

Trudno dojeżdżać nawet 6, czy 16 kilometrów. Przykładem jest gmina Grabieca, tuż za miedzą Piotrkowa Tryb. Na 43 pracujących tam nauczycieli, trzydziestu dojeżdża, najczęściej z Piotrkowa.

Okazuje się, że z tymi dojazdami, wbrew pozorom, są bardzo poważne kłopoty. W Woli Kamockiej (7 km od Piotrkowa trasą T-12) mówiono mi, że częste są przypadki, iż na 12 nauczycieli, lekcje prowadzi trzech mieszkających na miejscu. Podobnie jest w Gminnej Szkole Zbiorczej w Boryszewie i innych szkołach gminy Grabieca. Często opóźnienia autobusów PKS (nawet wiosną) dają zorganizuować pracę szkoły, szczególnie na pierwszych lekcjach. Trudno przewidzieć nagłe za-
stepstwa i wówczas dzieł po-

zostają pod opieką 2-3 nauczycieli mieszkających na miejscu.

Tak więc, to co dla władz formalnie nie stanowi kłopotu, bo nauczyciele wolą mieszkać w Piotrkowie, w szkolnym działaniu obraca się przeciwko dzieciom. Wiadomo, że nie dopilnowane, nie pracujące na lekcji z nauczycielem dzieci, mają poważne opóźnienia w realizacji materiału lekcyjnego. Trzeba więc komasować tematy, wypadają lekcje powtórzeniowe. Wszystko to nie sprzyja właściwemu prowadzeniu tego co dla szkoły jest najważniejsze: nauczania i wychowania.

Wprawdzie na początku przytoczyłem kilka przykładów sytuacji mieszkaniowej i potrzeb w tej mierze, ale w czasie swojej wędrowki po szkołach woj. piotrkowskiego, pierwsze moje pytanie nie dotyczyło ile potrzeba mieszkań, bo że trzeba, to wiadomo wszędzie, tylko — ile osób dojeżdża. Dopiero na tym tle, w szczególnej ostrości ujawnia się skala problemu. Największa w sąsiedztwie miast. Wprawdzie w innych gminach, położonych dalej od miast, problem ten nie jest tak ostry, ale i tam dojazdy mają miejsce. Wzrosły z chwilą organizowania gminnych szkół zbiorczych.

Jeżeli do szkoły dojeżdża nawet 6-8 nauczycieli, i ci ludzie nie mają możliwości dotarcia na czas, to łatwo sobie wyobrazić jak dezorganizuje to pracę szkoły. O tym już wspominałem. W dodatku ludzie ci żyją od przyjazdu do odjazdu autobusu. Nie mają czasu na sprawy środowiska. A kiedy mają prowadzić rozmowy z rodzicami, kiedy zajmować się młodzieżą trudną, kiedy prowadzić zajęcia kół zainteresowań i organizacji społeczno-wychowawczych?

Suma więc elementów paraliżujących funkcjonowanie szkoły, właśnie z tytułu braku odpowiedniej liczby mieszkań, jest tak duża, iż sprawa nie może być dalej pozostawiona na uboczu.

Owszem są ludzie, są niektóre władze gminne, które doceniają sprawę nauczycielskich mieszkań, ale znacznie więcej jest w tym sloganów i deklaracji, niż konkretnego działania. Ot, chociażby deklaruje się budowę domów nauczycielskich lub oddanie iluś tam mieszkań w blokach. Kiedy jednak są już gotowe, to otrzymują je w szkole wiejskiej. To zrozumiałe. Trudno dojeżdżać codziennie tyle kilometrów.

Wprawdzie, jak się przekonaliśmy, w woj. piotrkowskim nie trzeba już nikogo przekonywać o tym, że dla nauczyciela mieszkanie jest drugim warsztatem pracy, ale trzeba jeszcze uświadomić, (wiadom innym województw także), że chodzi tu o mieszkanie w miejscu pracy i, podkreślam, mieszkanie wygodne i nowoczesne. Żyjska na tym sam nauczyciel, zyskają na tym i dzieci i środowisko, którego sprawami będą on mógł żyć na co dzień.

(c.d.n.)

UCZEN-SZKOŁA-NAUCZYCIEL

Dalszy ciąg ze str. 1

— przeciętnie 6-7 godzin. W domu odrabiam lekcje od 4 do 5 godzin, żeby się jako tako przygotować. Gdybym chciał się przygotować ze wszystkich przedmiotów naprawdę dobrze, musiałbym uczyć się jeszcze dłużej.

— Czy twoi koledzy też tyle pracują?

— Na ogół tak. To jest bilans czasu przeciętnego ucznia.

— Zostaje ci bardzo niewiele godzin na cokolwiek innego.

— Oczywiście. Dlatego ciągle jestem niewyspany i ziewam na pierwszych lekcjach.

— Dlaczego tak długo musisz pracować w domu?

— Bo w szkole nie ma na to czasu. Nauczyciele nastawieni są na przerabianie programu. Wtaczają nam wiedzę do głowy, jak lekarstwo strzykawką. Byłoby więcej, byle szybciej. Nauczyć się odtąd dotąd i tyle. Nawet pomyśleć nie ma kiedy. Nikt się zresztą nie pyta ucznia, co myśli.

— Nie przesadzasz? Dyskutujecie chyba na lekcjach języka polskiego, historii?

— Oczywiście. Nauczyciele nawet zachęcają do dyskusji, ale wtedy, kiedy jest im to wygodne. A kiedy nie, to słyszymy, że odbiegamy od tematu. W szkole panuje zasada, że nauczyciel ma zawsze rację.

— A nie ma?

— Nie zawsze. Gdyby pani zobaczyła na przykład niektóre lekcje. Nauczyciele czytają nam gazety sprzed kilku lat. Dawno już je przeczytaliśmy. Inne książki też. Więc gramy na lekcji w okłady i odrabiamy prace domowe.

— Nie próbowaliście porozmawiać z nauczycielami?

— Tak, ale nie się nie zmienilo. Zresztą mało kto odważy się szczerze powiedzieć nauczycielowi, jakie ma do niego zastrzeżenia. Od dawna mówimy z kolegami o tym, żeby w szkole założyć skrzynkę, do której można by wrzucać kartki z uwagami i życzeniami. Tylko, żeby się nikt nie obrażał.

— Sądzi, że byłoby to poważne opinie?

— Pewnie, że tak. Najwyższy czas, aby starsi zdecydowali do jakich zadań dorośliśmy, jak można nas traktować. Dookoła ciągle słyszymy sprzeczne opinie, raz, że jesteśmy już dorośli i powinniśmy być odpowiedzialni, drugi — że przeciwnie, jesteśmy jeszcze dziećmi. No to jak to właściwie jest!

— A za co chciałbyś być odpowiedzialny?

— Za siebie samego. Za to, co myślę, co mówię i robię. Za swoją pracę i swoje zachowanie.

— A do czego jeszcze nie dorośles?

— Do pracy zawodowej, do założenia rodziny, do prowadzenia domu, do śmierci...

— Wróćmy do lekcji. Są chyba lekcje, na których się nie nudzisz?

— Tak. Widać od razu, który nauczyciel się stara, a który nie. Ci, co się starają, też są ograniczeni programem. Poza tym, każdy nauczyciel uważa swój przedmiot za najważniejszy: historię — historię, matematykę — matematykę. Nikt nie myśli o tym, że uczeń musi przygotować się ze wszystkich przedmiotów.

— Stosujesz uniki. Chciałabym się dowiedzieć, co was interesuje naprawdę.

— Takie przedmioty, które nie mają odbicia w szkole.

— Na przykład?

— Interesuje mnie muzyka, malarstwo, rysunek, polityka międzynarodowa, astronomia. Są koledzy, którzy pasjonują się architekturą i nawet sami robią projekty. Inni piszą opowiadania, entuzjastują się literaturą science-fiction. Sporo uczniów interesuje się polityką, tylko nie mają gdzie wyrażać się swoją wiedzą. Stopień szkolny nie jest odbiciem naszych wiadomości.

— Masz na myśli dwóch uczniów, z których jeden tylko wyuczył się lekcji i dostał piątkę, a drugi, który pasjonuje się przedmiotem, też te samą piątkę dostał.

— Tak. Sama pani widzi, jaka jest ogromna różnica między tymi ludźmi, a między stopniami nie ma żadnej.

— Więc co proponujesz?

— Oceny w procentach, jak w Japonii. Mówiliśmy już o tym z ko-

legami. Skala ocen mogłaby wynosić np. 100 proc. Byłoby to pułap prawie nieosiągalny. Uczeń dobrze przygotowany do lekcji mógłby otrzymać ocenę równą 50 procentom, a ten pasjonat — 80 proc. Byłoby to bardziej sprawiedliwe.

— Czy tylko system ocen uważasz za niesprawiedliwy?

— Nie, nie tylko. Jeszcze brak demokracji.

— Co przez to rozumiesz?

— Mam 16 lat, dowód osobisty, a więc jestem prawie uznany za dorosłego, a nie mam pojęcia o wielu sprawach, które dzieją się w szkole. Uważam, że powinienem wiedzieć.

— Co chciałbyś wiedzieć?

— Choćby, na co są przeznaczane pieniądze ze składek na komitet rodzicielski. Są to składki płacone przez naszych rodziców i przeznaczone na potrzeby uczniów. Chciałbym wiedzieć, na co się je wydaje. Nie wiem też, co się dzieje z pieniędzmi za makulaturę. O ile szkoła w ogóle je dostaje. Mogłoby też służyć w szkole na przerwach muzyki. To byłby bardzo dobry pomysł, można było naprawdę odczekać. Zlikwidowano ją, bo podobno była zbyt głośna. Wiem, że nawet chorzy leczy się muzyką. Dlaczego nas jej pozbawiono? Nie wiem.

— Co jeszcze byś uwzględnił w szkole?

— Przede wszystkim system nauczania. Teraz pracujemy według zasady: każdy uczy się w domu, potem przychodzi do szkoły i czeka, czy go wyrwa do tablicy. Nauczyciel wyrzuca Kowalskiego, wszyscy odychają z ulgą. Kowalski odpowiada, męczy się sam, a reszta i tak nie słucha, tylko czeka, kto następny. Jest to bardzo „sobkowski” system. Każdy pracuje tylko dla siebie. Widzę to inaczej. Dzielimy klasę na grupy, nauczyciel zadaje temat i lekcję przygotowują sami uczniowie. Sami ją prowadzą. Referują, opowiadają, itd., wszyscy w swoich grupach. Mocniejsi pomagają słabszym. Przed nauczycielem słabszy uczeń wstydzi się przyznać, że czegoś nie rozumie, a przed kolegą myśli, że się przyzna. Będzie też bardziej aktywny, jak będzie wiedział, że nie grozi mu dwójka.

— A na jakiej podstawie nauczyciele ocenialiby uczniów?

— Na podstawie obserwacji, dyskusji, przygotowanych referatów i innych pomocy.

— Uważasz, że to przyniosłoby rezultaty?

— Moglibyśmy spróbować.

— Masz jakieś wzory do naśladowania, autorytety?

— Z tym jest gorzej. Szkoła daje nam inne wzory i my mamy innych idoli.

— Na przykład?

— Szkoła serwuje książkowe i-deale. Nie wiem, czy to jest na dzisiejsze czasy.

— Należysz do jakichś organizacji szkolnych?

— Nie. Jest ich sporo, ale w każdej jest coś, co mnie zraża. Chętnie należałbym do ruchu „zielonych” gdyby taki istniał w Polsce. Propaguje on ochronę środowiska naturalnego, działa na rzecz pokoju i rozbrojenia.

— A samorząd szkolny? Nie myślałeś, żeby włączyć się do pracy w samorządzie?

— Myślałem.

— I co dalej?

— Jeszcze dokładnie nie wiem, co mógłbym tam robić.

— Powiedz na koniec, jaki powinien być — według ciebie — nauczyciel?

— Sprawiedliwy, o głębokiej wiedzy, pogodny, życzliwy, wyrozumiały, znający nasze problemy, uśmiechnięty.

— To nieomal ideał.

— No pewnie. Zawód nauczyciela to, według mnie, powołanie. Tak jak ksiądz z wiernymi, lekarz z chorymi, tak nauczyciel powinien być stałe z uczniami.

— Czy uważasz, że to, co powiedziałeś, spotka się ze zrozumieniem u twoich nauczycieli? Mam nadzieję, że nie będziesz miał nieprzyjemności w szkole z powodu tego wywiadu.

— Ja też tak sądzę.



Foto: R. Łucyszyn

Dalszy ciąg ze str. 1

— Przygotowały mnie od strony filologicznej. Natomiast zupełnie nie, jeśli chodzi o psychologię i pedagogikę. Sama musiałam się tego uczyć. Przypominam sobie swoje szkolne lata. Bardzo mi to pomogło. Uważam, że nauczyciel wtedy staje się konserwatywny, kiedy zapomina, co przeżywał, gdy sam chodził do szkoły.

— Łatwo nawiązuje pani kontakt z młodzieżą?

— Myślę, że tak. Ale najlepiej poznaje się uczniów nie w szkole, lecz poza nią. Na przykład na wycieczce. Wtedy rozmawiamy szczerze o wielu sprawach. Uczniowie wyciągają mnie na wycieczki nawet w niedzielę.

— Od dawna pracuje pani w szkole?

— Dopiero trzy i pół roku.

— Pani najstarsi uczniowie mają lat...

— ...18—19.

— To właściwie młodzi koledzy. Czy zwierzą się pani ze swoich kłopotów, przychodzą z prośbą o radę.

— Tak, oczywiście.

— Co to za kłopoty?

— Najczęściej dotyczą konfliktów z rodzicami. Młodzież prosi o wstawienie się za nimi, o wytłumaczenie rodzicom, że na przykład 17-letnia uczennica może pojechać na OHP i pracować podczas wakacji.

— Rodzice obawiają się samodzielności swoich dzieci?

— Raczej chcą uwolnić je od obowiązków.

— Więc jak to jest z tą samodzielnością młodzieży, czy szkoła rzeczywiście tak skutecznie je hamuje?

— Uważam, że jest odwrotnie. Młodzież ma okazję do wykazania samodzielności, zwłaszcza obecnie, tylko nie bardzo się do tego kwapi. Większość młodzieży krytykuje to, co widzi dookoła, niewiele jednak osób uważa, że mogłoby coś zmienić. Po prostu nie wierzy w skuteczność swego działania. Na propozycję zrobić coś sam, zmienić, jeśli ci się nie podoba uczeń odpowiada najczęściej, że nie wie co, lub że nie widzi sensu.

— Ale czy nie jest to rezultat poprzednich lat wychowania?

— Na pewno. Młodzież wyrastała w atmosferze działań pozornych, w przekonaniu, że nie warto się wysilać, bo i tak nie pomoże.

— W ten sposób okaleczono młodzież, pozbawiono charakterystycznych cech młodości: ideałości i rewolucyjności. Czy miniony rok — wydarzenia, jakie zaszły w kraju odbiły się w jakiś sposób na funkcjonowaniu szkoły, na zachowaniach młodzieży?

— Myślę, że mimo wszystko młodzież się uaktywniła, ale jeszcze w zbyt małym stopniu. Na przykład w

jednej z klas samorządnie powstało koło SZMS. Jest to druga organizacja w szkole obok ZHP. Ciekawa sprawa, że w harcerstwie zostali w naszej szkole tylko członkowie drużyny wodniackiej. Pozostali odeszli. Została więc młodzież, która naprawdę była z drużyną związana. Inni szukają czegoś nowego.

— Czy szkoła ma duży wpływ na poglądy polityczne uczniów?

— Myślę, że kształtuje je przede wszystkim dom.

— Odbiła pani piłeczkę...

— Nie. Tylko wydaje mi się, że dom ma w tym zakresie znacznie większy wpływ i — używając modnego dzisiaj słowa — większą wiarygodność.

— W czym jeszcze przejawia się ostatnio inicjatywa uczniów?

— Uczniowie zorganizowali w szkole sejmik i zgłosili wiele uwag dotyczących funkcjonowania szkoły. Razili ich na przykład rozbudowany ceremoniał. Ograniczyli ilość obchodzonych rocznie, uroczystych apeli i akademii. Uznali, że w życiu szkoły trzeba raz naczytać tylko te najważniejsze. Samodzielność uczniów wyraźnie przejawia się w chęci pracy i zdobywaniu pieniędzy. Naprawdę sporo uczniów pracuje podczas wakacji.

— Czy wie pani, na co wydają pieniądze?

— Wydatki są podobne: modne ubranie, płyty, sprzęt radiowy i muzyczny.

— Rodzice na to przystają?

— Nie wszyscy. Jestem jednak skłonna twierdzić, że rodzice zbyt mało wymagają od dzieci. Stawiają przed nimi za mało obowiązków i za wszelką cenę starają się przedłużyć dzieciństwo, które w naszych warunkach trwa niepokojąco długo.

— Czy słyszała pani, aby część zarobionych pieniędzy uczeń oddał rodzicom np. na utrzymanie, tak, jak to praktykuje się w innych krajach?

— Nie. Generalnie młodzież nastawiona jest na „brać” a nie „dawać”.

— Czy znane są pani autorytety młodzieży?

— Dla jednych autorytetem jest Kościół i etyka chrześcijańska. Wielu uczniów jest religijnych, obserwuję często, jak wstępują przed lekcjami do kościoła. Obawiam się jednak, że innym nie potrafiliśmy ofiarować nic porywającego.

— Wiem od uczniów, że w szkołach zdobywają uznanie różne nielegalne organizacje, o różnorodnych orientacjach ideologicznych, że roi się od wydawnictw, jednym słowem, że wartko płynie drugi nurt życia, o którym nauczyciele niewiele wiedzą.

— Do tej pory nie natrafiłam w naszej szkole na przykłady „podziemia”, co, nie oznacza, że ono nie istnieje. Być może, nie we wszystkich szkołach przybiera ono drastyczne formy. Niewątpliwie musimy się z jego istnieniem liczyć i umieć zareagować na jego przejawy. Niepokoi mnie także bardzo wzrost agresji u młodzieży i szerzące się

chamstwo, z którym nie umiemy sobie poradzić.

— To także chyba po części rezultat wychowania i sytuacji społecznej. Wątpię, czy nauczyciele sami sobie z tym zjawiskiem poradzą, to temat do osobnych rozważań — w jaki sposób system społeczny i kryzys wpływa na osobowość i zachowanie jednostki. Wróćmy do szkoły. Czy rzeczywiście uczeń musi tak długo pracować w domu?

— Moi uczniowie przeciętnie pracują 6 godzin, co prawda nie codziennie. Szkolne programy cierpią na nadmiar informacji, przed którymi uczniowie się bronią. Teraz, kiedy w szkolnictwie będą wprowadzone wolne soboty, czas nauki w domu będzie musiał się jeszcze wydłużyć.

— Dlaczego więc uczeń uczy się głównie w domu, a nie w szkole?

— Bo w szkole przede wszystkim realizuje się program.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że przerabia się tematy przewidziane programem w ciągu roku. A przerabiać to nie to samo, co uczyć. Dobry nauczyciel to ten, który realizuje program w przewidzianym terminie.

— Słyszałam o propozycjach, aby nauczycielom dać wolną rękę w ustalaniu programu, w wyborze najważniejszych ich zdaniem treści.

— Tak, to były propozycje ze strony samych nauczycieli. O ile wiem, nadal pozostają w sferze propozycji.

— Co pani sądzi o pomysłach Adama dotyczących zmiany skali ocen?

— Ma rację. Skala ocen jest stanowczo za mała. Powinniśmy albo zwiększyć skalę ocen, np. do dziesięciu, albo wprowadzić system punktowy lub procentowy.

— Czy zgadza się pani z panującą w szkole zasadą wychowawczą, w myśl której nauczyciel ma zawsze rację?

— W naszej szkole uczniowie ogłosili następujący regulamin: punkt 1 — nauczyciel ma zawsze rację; punkt 2 — jeśli nauczyciel nie ma racji, patrz punkt 1.

— I pani się z tym zgadza?

— Nie.

— Czy potwierdza pani tezę, że szkoła tłumy myślenie?

— Powiedziałabym raczej, że nie tłumy myślenie, co nie stwarza okazji do niego. Na myślenie i refleksję potrzebny jest czas. Tymczasem młodzież wtacza się tyle materiału do głowy, że nie jest w stanie się nad nim głębiej zastanowić. Młodzież dysponuje więc zbiorem faktów i informacji, a nie przemyśleniami i doświadczeniami, przed którymi się ją skutecznie chroni.

— W Wielkiej Brytanii uczniowie piszą rozprawki na dowolne tematy: np. „Co myślisz o śmierci?”, „Co czujesz na widok dziecka i starszej osoby?”, „List do przyjaciela” i inne. Jak pani sądzi, czy takie tematy spodobałyby się pani uczniom?

— Jestem pewna, że byłoby zaskoczenie. Trudno jednak przewidzieć, co mieliby do powiedzenia.

— A jak jest z tolerancją w szkole?

— Bardzo różnie. To zależy od nauczycieli, szkoły. Ogólnie jednak uważam, że szkoły stały się bardziej tolerancyjne, niż za moich uczniowskich lat. Pamiętam walkę o kolorowe pończochy, o możliwość noszenia długich włosów. Tymczasem teraz sama tańczy się na tym, że razi mnie zbyt krótko ostrzyżona głowa ucznia.

— A jacy są pani uczniowie?

— Sympatyczni, krytyczni, ciekawi życia. Bardzo szybko się zmieniają. Widać, że teraz, kiedy spotykamy się po wakacjach, będą to już inni ludzie. To nie jest jednolita grupa.

— Czy uważa pani, że nauczyciel może być w szkole sobą?

— Uważam, że jeśli tylko chce i potrafi, to może.

— Zdaje sobie pani sprawę z bardzo niskiego prestiżu zawodu nauczyciela, z narastającymi pretensjami społeczeństwa w stosunku do szkoły i nauczycieli. Jak się czuje pani, pracując w tym zawodzie?

— Nie czuję się szczególnie znękaną. Jak powiedziałam — lubię szkołę i uczniów, ale życzylibym sobie, aby nasz zawód cieszył się znowu uznaniem i prestiżem społecznym.

— Pani najważniejsza dewiza wychowawcza?

— Bardzo prosta: być z młodzieżą, a nie obok młodzieży.

Rozmawiała: MAŁGORZATA GOLICKA

Pozostały w pamięci ciemne uliczki, w których nie sposób już niczego rozróżnić, pozostał dławiący zapach spalonych, wiskających się do każdego kąta, każdego domu, piwnic i strychów. W pamięci pozostał nade wszystko stuk butów. Miarowy, ciężki, wbijający się w rozgorączkowaną głowę. Ten stuk ciągle powraca i daje o sobie znać. Nie wolno mi go zapomnieć. Ten stuk nie pozwala zamykać się w świecie codziennych spraw, wydekurowanych abstrakcji i małodusznych ambicji. Ten stuk obijał nieludzkim szcękaniem całe nasze życie.

Spojrzałem na zegarek. Dochodzi dziesiąta. Do północy jeszcze daleko. Wierzę, że czas, żeby stawić się na punkt zborny milicji robotniczej, która otrzymała zadanie zabezpieczenia dzielnicy przed rzutem dywersantów niemieckich.

Z białą-czerwoną opaską na rękę i z przepustką w kieszeni szedłem na umówione miejsce, a obok mnie szła ona.

Ulica ciągnęła się wzdłuż ciemnej Wisły. Było cicho. Cisza przerażała, woleliśmy wtedy nieustanny huk. Od czasu do czasu zza okopów chmur wynurzał się kszelcy, otoczony jak Saturn złotym pierścieniem. Rzucał ostre światło na odbyskujący asfalt przybrzeżnej ulicy. W mieście obłożonym każdy szmer, każdy cień, każdy nieznaczny ruch ma w sobie coś złowieszczonego, może kryć podstęp. Z daleka dochodziło głuche dudnienie artylerii. Myślałem o tym, co głośno w ostatnich dniach, o ludziach, którzy na zawsze nas opuścili i o tych, którzy jeszcze walczą.

Czułem ciepło jej rąk, szukających w mojej dłoni spokoju i pewności. Szła obok również pogrążona w myślach, dziecięco ufna. W czasie oszałamiającego uczucia ludzkie tężeją. Czy zdołamy powiedzieć sobie wszystko? Za dwie godziny musimy odejść na służbę.

Przytuliłem ją mocno do siebie. Po obu stronach ulicy szumiały wysokie topole. Z dala dobiegał trzask wystrzałów. Ledwie ją widzę w mroku koło siebie, ale wiem, że ma teraz na ustach ten swój zwykły cieple, a jednocześnie smutny uśmiech Murielewskiej Madonny. Oczy ma szare, jak by zdziwione. Jasne, jak bardzo jasne włosy! Tylko, że w tej chwili i one są częścią mroku.

O czym ona w tej chwili myśli? Czy o nas, czy tylko o sobie? Spojrzałem na lekko fosforujące strzałki mego zegarka: tak, jeszcze na szczęście sporo czasu.

Brdaliśmy coraz głębiej w nadbrzeżny mrok, aż wchłonął nas całkowicie. Ogromna, pulsująca oddechem drzew cisza wpływała na nas kojąco.

Znowu nawiedziły mnie kłujące myśli, które po raz pierwszy napadły mnie w czasie pierwszego nalotu na Warszawę i od tej chwili nie dają spokoju. Ale teraz — może to sprawiła

jej bliskość — nie są tak bardzo posępne. Przeciwnie!

Nie stoi na miejscu, — rozmyślałem — wszystko się porusza i wszystko się zmienia. Istniały kiedyś potęgi których już nie ma na świecie, a zdawało się ludziom, którzy je stworzyli, że wznieśli pomniki swojej mocy niewzruszalnej. Ich nie ma, potęga ich szybko runęła jak domki i kart, a świat posunął się dalej. Zawsze istnieli tacy, którzy nienawidzili tego,

niu. Miałem wrażenie, jakby świat cały zniechęcony i nie było poza nami, jakby poza naszym sercem białym, poza naszymi pocałunkami nie nigdy nie istniało. Że to wszystko, co na zewnątrz, jest zmyśleniem, a nie okrutną rzeczywistością mieszkańców tego niepokornego miasta.

Uczyniliśmy kilka kroków ku bocznej nawie i usiedliśmy w drewnianej ławce. Oprócz nas nie było nikogo. Nie wiem dlaczego, przypom-

BALLADA

Henryk Hartenberg

co nowe. Oni zawsze usiłowali wtrącić ludzkość w przepaść, ale nigdy im się to nie udało. Świat jest bezkresny i bezkresny jest czas. Agresor minie z czasu i przestrzeni, naród będzie istniał, ludzie pracy całego świata posładą Ziemię. Muszą — taki jest kierunek dziejów... Nie ma też i śmierci dla naszej miłości.

Przytuliłem się do niej jeszcze mocniej. Każde narodziny miłości równają się zwycięstwu człowieka nad brzydotą i złem. Czy jej powiedzieć jak bardzo ją kocham?

Nie, pomyśleć tak, można, zawsze wszystko można pomyśleć, ale powiedzieć jej to na głos, to zabrzmiałoby patetycznie, jak frazes ze złej deklamacji.

Przed kilku dniami czytałem traktat Norwida „O milczeniu”. Nauczyłem się z niego, że czasem słowo nie przemilczane w porę może wyprowadzić człowieka za bramę do której się już nie powraca.

Zagłębiając się w sieć wąskich uliczek, nie wiedziałem kiedy i jak, znaleźliśmy się nagle w drewnianym kościełku. Na zewnątrz była całkowita ciemność obłożona i przycajonego miasta. Tu było jasnie, półmrok Pąsowa smuga światła z oliwnej lampki próżno usiłowała rozbudzić śpiące witraże. Tam gdzie smuga światła stykała się ze skrawkiem nieba, unosił się matowy fiolet, barwa męczeństwa.

Znieruchomieliśmy w tajemniczym oczekiwa-

niała mi się cęła klasztorna, wysoko pod sufitem zakratowane okienko, twarde kamienne łożo i niepokojąca cisza, dręcząca przez cały czas. Potem wydało mi się, że półmrok, utworzył nad obojgiem nas wysoki ostrokrątny namiot.

Zaczęliśmy pod tym namiotem rozmawiać. Była to dziwna rozmowa absolutnym milczeniem, samymi tylko wargami. Kiedy wargi stykały się ze sobą, mieliśmy uczucie, że są nierozdzielne, że tylko rozłączył je... na chwilę jakiś przypadek przed tysiącami lat i znowu znalazły się razem, świadome siebie, pamiętające.

Wtem przez zakratowany otwór dobiegło coraz gwałtowniejsze dudnienie armat.

Wracała rzeczywistość: tam — za drewnianą ścianą — rozspuje się moje miasto. Miasto któremu chcę odebrać życie.

Zerwał się wiatr, bił w drewniane ściany i wieżyczki, szarpał drzwiami. Rozkołysał nawet dzwon, którego płaczliwe dźwięki wśliznęły się do świątyni i uciekły.

Spojrzałem na zegarek: czas mego odejścia stąd i stawienia się na posterunek zbliżał się nieuchronnie.

Przed chwilą ani bym pomyślał, że tak wkrótce uczynię. Przecież lata sztubackie, lektury sztubackie, sztubackie obyczaje — dawno już pozostawiłem za sobą. Przecież już, zdawa-

łoby się, wiem, co jest mądre a co niemądre, co uchodzi człowiekowi dorosłemu, co nie. A tymczasem tu, pod tym ostrokrątnym, nieręczystym namiotem który dał nam na chwilę złudną świadomość bezpieczeństwa — wyciągam nagle szczyrą i na drewnianej ławce wyrzynam — nie od razu zdając sobie sprawę, co robię — jej i mój inicjał oraz słowo „zawsze”. Naciąłem skórę lewej ręki... kropie krwi wpłynęły w głąb szczeliny. Dziewczyna podsunęła mi — znowu bez słowa — swoją rękę. Uczyniłem to samo. Krew nasza złączyła się w tych wyskrobanych po sztubacku rowkach. Tak samo czynili bohaterowie dawnych lektur: Winnetou i Old Shatterhand; tak uczyniliśmy kiedyś: Ja i mój kolega Władek — kiedy postanowiliśmy wybrać się w świat, żeby odkryć jakąś nieznaną geografii wyspę. Władka już nigdy więcej nie zobaczę, zginął bohatersko w pierwszych dniach września.

Zegar kościelny wydzwonił północ. Dziewczyna przywarła do mnie mocno.

— Muszę iść, zrozum. To rozkaz i obowiązek. Ale wróć za trzy i pół godziny, naprawdę wróć. Muszę wrócić. Słowo młodzieńcze.

— Zostań, proszę cię. Zdrzemnię się na ławce.

— Nie, nie wolno! Nie idź!

— Wróć tu za trzy godziny.

Odczuliśmy zostawiając tutaj — przy niej moje serce, myśl i pamięć.

Wykonałem zadanie. Powracam martwymi uliczkami. Spieszę się bardzo. Rzeka wyłoniła się już dawno z ciemności, niebo rzuciło na siebie gwiazdy, ale wcale nie jest nagie. Jest spowite brudną, cielistą, tu i ówdzie zakrwawioną mgłą.

Za rogiem jakiegoś spalonego budynku zatrzymuje mnie patrol. Przeglądają dokumenty. Wszystko w porządku, z ochotniczej milicji robotniczej. Można iść dalej.

Po drugiej stronie ulicy wynurzają się rowy i wielkie leje po zrzuconych przed chwilą bombach. Przyspieszam kroku. Biegnę! Wciąż myślę o niej. Czeka na mnie. Widzę ją, jak czeka na mnie, jak siedzi w ławce z głową opartą o pulpę.

Ten bieg znowu przerywa wycie samolotów, gwizd i ogłuszające wybuchy. Znowu zaczęło się piekło...

Kiedy wszystko ucichło, z dławiącym krtań niepokojem pobiegłem w stronę kościółka w którym kilka godzin temu zostawiłem dziewczynę.

Gdzie on jest? Czyżbym pomylił ulicę? Stoję w miejscu i jeszcze nie chcę wierzyć.

O kilka kroków ode mnie dopała się drewniana ławka...

Skrawka blatu jeszcze nie objęty ogniem. Przez chwilę wydaje się jeszcze że widzę na nim nieporadnie wyróżnione słowo — „Zawsze”.

ROMAN GORZELSKI

BLUES

O CZŁOWIECZYCH RĘKACH

Te ręce
smutne w swojej beznadziejnej samotności
o liniach papilarnych spekulujących jak ziemia
mogą przynieść uzdrawiający dotyk miłości

Te ręce
można przybić do krzyża
i pokazywać w czas wielkiego święta

Te ręce
odcięte w pachwinach marmuru setki lat czekały
aby człowiek wydobyl je z mroku zapomnienia

Te ręce
mogą zamknąć drzwi na klucz
mogą ukarać matkę bijąc ją po twarzy

Te ręce
leżą na zakrwawionej ulicy pełnej czołgów
i stukotu nóg opiętych w pancerz butów

Te ręce
mogą zbudować więzienie i skrzypce
mogą uczynić człowieka złym lub dobrym

Te ręce
zrywają zaczarowane słoneca owoców
by wznieść je do pulsującej krwi ust

Te ręce
zakwitają o świetle podczas śpiewu ptaków
a potem same śpiewają śpiewają

Te ręce
jak konary z ośmiornicą palców
chwytają za gardło ulotny czas życia

PRZEPIS WIGILIJNY

Karpia oparzyć udusić w warzywach na maśle
polać gorącym sosem (w kontakt ze sztuką —
nawet kulinarną — nie można wejść w każdej sytuacji)
uprzednio należy mu uciąć łeb jak złemu smokowi
z bajeczek dla grzecznych dzieci
Zanim zasiądziemy przy wigilijnym stole
uchamy jeszcze głowę indykowi (zgodnie z przysłowiem)
strzelamy do zajęcy wycinamy w lesie wiele tysięcy
drzewek świętych a potem śpiewamy głośno
Gloria in Excelsis Deo
I już czujemy ulgę jak po odpuszczeniu grzechów
odchodzi od nas struchlała moc

(pijemy czerwone wino) dzięki florze i faunie
tak oto przez nas wprowadzonej w tę noc zimową
niezwykłą pod wspólny dach nad głową
pełną symbolicznej wymownej jemioty

ZBIERACTWO

Mój znajomy jest numizmatykiem
przeważnie zbiera bilon
(morze zbiera żywiec — krew sosu
aby przekształcić ją w jantarową bryłę)
zaś hobby mego znajomego jest bardzo praktyczne
jego przodkowie także trudnili się zbieractwem
zresztą różne są upodobania:
to co dla jednego jest podłoga
dla drugiego zwyczajnym sufitem
bo zanim nauczymy się latać musimy się przyzwyczaić
do potknięć upadków i kuksańców
jeżeli mimo to z pozą maniaka zbieramy różne doświadczenia
to wsluchajmy się także w pobrzękujący głos monet
tylko one czegoś nas mogą nauczyć
— złotej lekcji srebrzystej dykcji
oraz zdawkowych miedzianych wypowiedzi czołobitnych
a tak naprawdę to najlepiej nam wychodzą
przemówienia do pustych krzeseł

Wiersze z tomu „Gorzką człowiek”, który ukaże się nakładem
Wydawnictwa Łódzkiego

— Pan jest niebieskim ptakiem? — Skórzanopłaszczcy cywil groźnie poruszał uszami.
— To nieprawda, to oszczerstwo, ja jestem ptakiem zielonym. Miedlił mi się bułtuch od tego niebieskiego i niebieskiego, jakby nie było innych kolorów.

— Czy mógłby mnie pan poczęstować papierosami?
Wyciągnąłem do niego paczkę. Zjadł szybko pierwsze trzy, czwartego już żuł spokojnie.

Widziałem, że jest już w kresu wytrzymałości. Przesłuchuje mnie już pięć godzin. Jeszcze trochę i załamie się, będzie mój.

— Więc pan twierdzi uparcie, że nie jest pan niebieskim ptakiem?
Głos drżał mu lekko. Prędzej czy później przesłuchujący musi się załamać. Atmosfera tego pokoju, ten dyskretny szaro-seledynowy kolor ścian i to siedzenie stale w półmroku, monotonia pytań.

— Owszem, było się czasami nawet rajskim, mogę panu powiedzieć, że byłem indykiem...
— A jednak przynajmniej się pan, Indyki nie lubią czerwonego.

— Byłem ślepym indykiem — przerwał mi patrząc prosto w mrok, z którego dochodził głos.
— Czy ma pan świadków?
— Nie, ponieważ o tym, że jestem indykiem wiedziałem tylko ja. Nawet gdyby ktoś o tym wiedział, to kryłem oczy za ciemnymi okularami. Byłem indywidualnym hodowcą siebie, a nie spódnioleczym.

Cywil zamyslił się. Ilekrót myślał, z mroku dochodziło ciężkie sapanie.
— Jest ktoś, kto cię widział. Wprowadzić Hipopotama.

Hipopotama, jak wiemy, odznaczają się wyjątkowo perfidnym (dla oglądającego) sposobem wydalania kału. W trakcie ze swego małutkiego ogonka robią śmigło. Przypomina to staromodną grę w piegi.

— Czy widzieliście się już kiedyś?
Gruboskórny zwierzył patrząc na mnie tępo. Wiedziałem, że mogę liczyć na jego dyskrecję. Nie powie o naszym spotkaniu w miejskim ZOO nic, co był mi obciążało. Stał się tak naprzeciwko siebie, a przysłuchujący zalał.

— Banda! Hojotyci zakatłali! Łoża typy wypręty. To jest spisek! Każę was wydybać po kłoneczach.

U SIEBIE

Jacek Bieliński

Opanował się dopiero po kilku minutach, posapał i widocznie nowy pomysł wpadł mu do głowy, bo wyszeptał złowieszczo:

— Ja pana i tak rozpoznam. Naciąnął ukryty gdzieś w ciemności przycisk

— Będę dyktował: proszę przygotować wszystkich do konfrontacji.

Otworzyły się drzwi i weszło kilku strażników. Co prawda, to prawda, organizacja to u nich wzorowa i tempo pracy wspaniałe. W czasie gdy jedni rysowali na podłodze białą linię, inni wpadali w mrok za biurkiem i wybiegali stamtąd z podpisanymi papierkami, prawdopodobnie wezwaniami. Z

ciemności dobiegł mnie jego głos, tym razem pewny siebie i opanowany:

— Dam panu szansę. Stanie pan między wielu innymi, może uda się panu zostać nierozpoznanym. O ile nie będę miał pewności że to pan, nie wskazać na pana.

Ustawiono mnie na tej linii, po lewej ręce miałem strusia, po prawej charta afgańskiego, dwa króliki, miske z wodą i filodendron. Jednak przegrałem z nim, myślałem z żalem, dobrze to obmyślił. Teraz złoży ręce z tyłu, będzie chodząc wzdłuż szeregu i przypatrywał się. Trudno żeby pomylił mnie z miską wody, na przykład, albo z filodendronem. Wstał.

Słyszałem jak odsunął krzesło. — Tego też ustawcie — wychyliła się ręka wskazująca na Hipopotama. Cyrkowiec, myślałem. Lubi teatr. Potem będz się chełpił. Już słyszę jego głos:

— To jest niezbity dowód. Gdybym się mylił, Ale bez wahania wskazałem na pana.

Tymczasem strażnicy nie mogli sobie dać rady z gróhoskórny, nie wiedzieli jak go ustawić na linii.

— Czy ma stać przodem czy bokiem? — spytał wataszy strażnik.

— Nawet tyłem, to nie ma znaczenia. Byle szybko.

Wszystko już było przygotowane. Tylko cud mógłby mnie uratować. Po co on to przedłuża?

Zatrzymałem się na wysokości hipopotama stojącego na jego rozkaz i nieszczęście tyłem do zmkroku.

I nagle ten wielki zwierz nie pomny na powagę sytuacji, począł wywijać szalonego młynka ogonem, rozpryskując rzadką maź.

— To bezczelność! Ty chamluś gruboskórny — ryczał cywil.

— To bydle nasrało mi w oczy! Ja nic nie widzę — mio-

tał się po ciemnej stronie pokójku.

— To on! — wskazał ręką na filodendron.

Po cichu zamieniłem się na miejsce z miską wody.

— Albo on! — i wskazał na strusia.

Strażnicy patrzyli po sobie niepewnie. To nie, że nie widzi kto, ale powinien wyraźnie wyznaczyć winnego, w przeciwnym razie stawia się w mocno dwuznacznej sytuacji.

Powoli podszedłem do blurka i skierowałem światła na ciemną część pokoju. Cywil stał beznadziejnie pośrodku i turlał się na tył.

— Pan mówi, że pan nie wie kto? — spytałem — To bardzo źle, zobacz pan, na pewno pan zobaczy! I przynajmniej pan, Nieprawda? — spytałem do wódce straży.

— Tjes — odpowiedział tamten i groźnie ruszył w stronę cywila.

Druga połowa pokoju była identyczna. Tak chciałem go umebłować. Duża ilość sprzętów rozprasza mnie. Na środku biurko i dwa krzesła. Czas iść spać, jutro nowy dzień, konieczne muszę kupić ciemne okulary, to chroniczne zapalenie spojówek...

BECK

Odręczenie stosunków z Niemcami musiało przynieść Polsce wielką ulgę. Dało te rezultaty, których się zawsze po takim odręczeniu spodziewałem.

(1) Francja, która dotychczas prowadziła politykę pokojową wobec Niemiec, wyszukując fakt, że jej sojusznik Polska prowadziła wobec Niemiec politykę quasi wojenną, poczuła się zagrożona na gwałt zmieniła rolę i zaczęła prowadzić wobec Niemiec politykę bezpieczeństwa, quasi wojenną. Role się zmieniły. Dotychczas Francja ciągnęła zyski ze swej pokojowej polityki wobec Niemiec, a Polska ponosiła ciężary asekuracji pokoju, teraz nastąpiła sytuacja odwrotna. W każdym razie jeszcze po dojeździe Hitlera do władzy, Francja szukała porozumienia z Hitlerem, wyciągała do niego rękę, czego dowodem jest choćby pakt czterech. Dopiero rozmowa Hitlera — Wysockiego z dnia 2 maja 1933 roku i pakt polsko-niemiecki z dnia 26 stycznia 1934 roku uniemożliwiła Francji tę politykę i popychała Francję na inne, o wiele dla nas bardziej pożądane tory.

(2) Każde państwo, które prowadzi wojnę, jest przez to samo osłabione. Nawet największe państwo prowadzące wojnę z małym państwem czuje swe osłabienie. Jakże osłabiona czuła się politycznie An-

start z innymi państwami europejskimi do dalszej polityki. Teraz chodziło o dalszą drogę. Polska musiała się liczyć z dalszym wzmacnianiem się swego sąsiada, Niemiec. Jak się ma wobec tego zachować? Hitler: od pierwszej chwili odręczenia stosunków proponował Polsce wspólną wyprawę na Rosję sowiecką. Jak się ma zachować wobec tej oferty?

Pisząc w części poprzedniej o polityce Piłsudskiego przed rozmową Hitlera — Wysockiego, wskazywałem, że Piłsudski miał do wyboru: albo (1) spowodowanie wojny przewencyjnej z Niemcami, albo (2) odręczenie stosunków z Niemcami. Hitler powziął na to drugie wyjście i Piłsudski się na to zgodził.

Ale Piłsudski umarł — Mościcki, Rydz-Śmigłowski byli to ludzie nie mający kwalifikacji do rozstrzygnięcia w sprawach polityki zagranicznej, odpowiedzialność ciążyła na Becku. Co miał wybrać? Co miał do wyboru?

(1) Przyjęcie oferty Hitlera wspólnej wyprawy na Rosję sowiecką, po uzyskaniu neutralności państw europejskich.
(2) Porzucenie dalszego odręczenia sto-

śroć niemiecką w Polsce, mniejszość polską w Niemczech. W Gdańsku cały czas były kłopoty antypolskie. Mniejszość niemiecka w Polsce zachowywała postawę antypolską, mniejszość polska w Niemczech była gniebiona. — Czy Beck zabrał się na serio do tych spraw? Czy Beck rozumiał, że bez ich załatwienia nie może, nie wolno mu ruszać naprzód, nie wolno mu spokojnie przyglądać się wzmożeniu się Niemiec w Europie a już w żadnym wypadku reki do tego wzmożenia przykładac? Bo można wspólną politykę z sąsiadem prowadzić, ale nie wtedy, gdy ten sąsiad jest na nas rozjuszony, i żywi wobec nas uczucia zemsty i zaboru.

Czytelnik zna już mój pogląd na prawo polityczne, które rządził osami Polski. Polityka polska jest tylko funkcją stosunku Niemiec do Rosji i Rosji do Niemiec. Pokój i zgoda między tymi dwoma państwami, to zguba Polski. Polityka antysowiecka Hitlera wzmacniała nas, wojna Niemiec z Rosją wzmacniała nas także, oczywiście o tyle, o ile by państwa zachodnioeuropejskie pozostały nietknięte i były gwarantami, że Hitler po przestaniu na wojnie z Sowietami, na zrobieniu sobie kolonii ze wschodniej Azji, lub z innych azjatyckich posiadłości rosyjskich, i że pobicie Rosji nie byłoby odskocznią dla Hitlera do zwrócenia się przeciwko innym narodom Europy.

Dla Europy zachodniej wojna Niemiec z Sowietami miałaby znaczenie pokłócenia się państw głodnych mię-

szczytych, nazywana Gdynią. W roku 1939 wojska niemieckie zajęły ogromne miasto, nowoczesne, wspinałe się na wzgórza, z wyciągniętymi sznurami żelbetonowych budowli, i port jeden z największych i najbardziej ożywionych w Europie. Powstanie i rozwój Gdyni, to miłe wspomnienie z czasów naszej niepodległości. Naród polski wykazał tu energię, przedsiębiorczość gospodarczą, europejskość. Do Gdyni zjeżdżali ludzie z całej Polski. Było to dziwne miasto bez prowincjonalnego charakteru, miasto całej Polski. Do Gdyni nie mogły dojeżdżać statki wiślane. Ale nie miało to wielkiego znaczenia. Przywóz do naszych portów, Gdyni i Gdańska, z Polski drogą po Wiśle wynosił wszystkich 2 proc. wartości naszego przywozu do tych portów. Znaczenie Wisły było więc często potocznie przesadzone.

W pobliżu Gdańska w roku 1920 była mała wioseczka na wydymach piaszczystych, nazywana Gdynią. W roku 1939 wojska niemieckie zajęły ogromne miasto, nowoczesne, wspinałe się na wzgórza, z wyciągniętymi sznurami żelbetonowych budowli, i port jeden z największych i najbardziej ożywionych w Europie. Powstanie i rozwój Gdyni, to miłe wspomnienie z czasów naszej niepodległości. Naród polski wykazał tu energię, przedsiębiorczość gospodarczą, europejskość. Do Gdyni zjeżdżali ludzie z całej Polski. Było to dziwne miasto bez prowincjonalnego charakteru, miasto całej Polski. Do Gdyni nie mogły dojeżdżać statki wiślane. Ale nie miało to wielkiego znaczenia. Przywóz do naszych portów, Gdyni i Gdańska, z Polski drogą po Wiśle wynosił wszystkich 2 proc. wartości naszego przywozu do tych portów. Znaczenie Wisły było więc często potocznie przesadzone.

GDYNIA I GDAŃSK

W grudniu 1933 roku wystąpiłem na łamach gazety ze swoim projektem załatwienia sprawy Gdańska.

Czego szukamy w Gdańsku? — pytałem. Gdańsk posiada kolonię polską, Gdańsk ma ludność niemiecką, Gdańsk jest jednym z naszych portów.

Przed wojną 1914 roku Poznań miał więcej niż 60 proc. ludności niemieckiej, sztucznie nam narzuconej. Po oswobodzeniu, powrócił do polskości łatwo i całkowicie. Gdyby Gdańsk został nam przyznany przez traktat wersalski na własność, jak tego żądała sprawiedliwość dziełowa, zapewne by uległ podobnemu losowi chociaż Gdańsk w ostatnich wiekach miał zawsze ludność niemiecką i odrębny statut polityczny. Ale dzięki polityce Lloyd George'a nie dostaliśmy Gdańska i w roku 1935 narodowość polska w Gdańsku nie była aktualna.

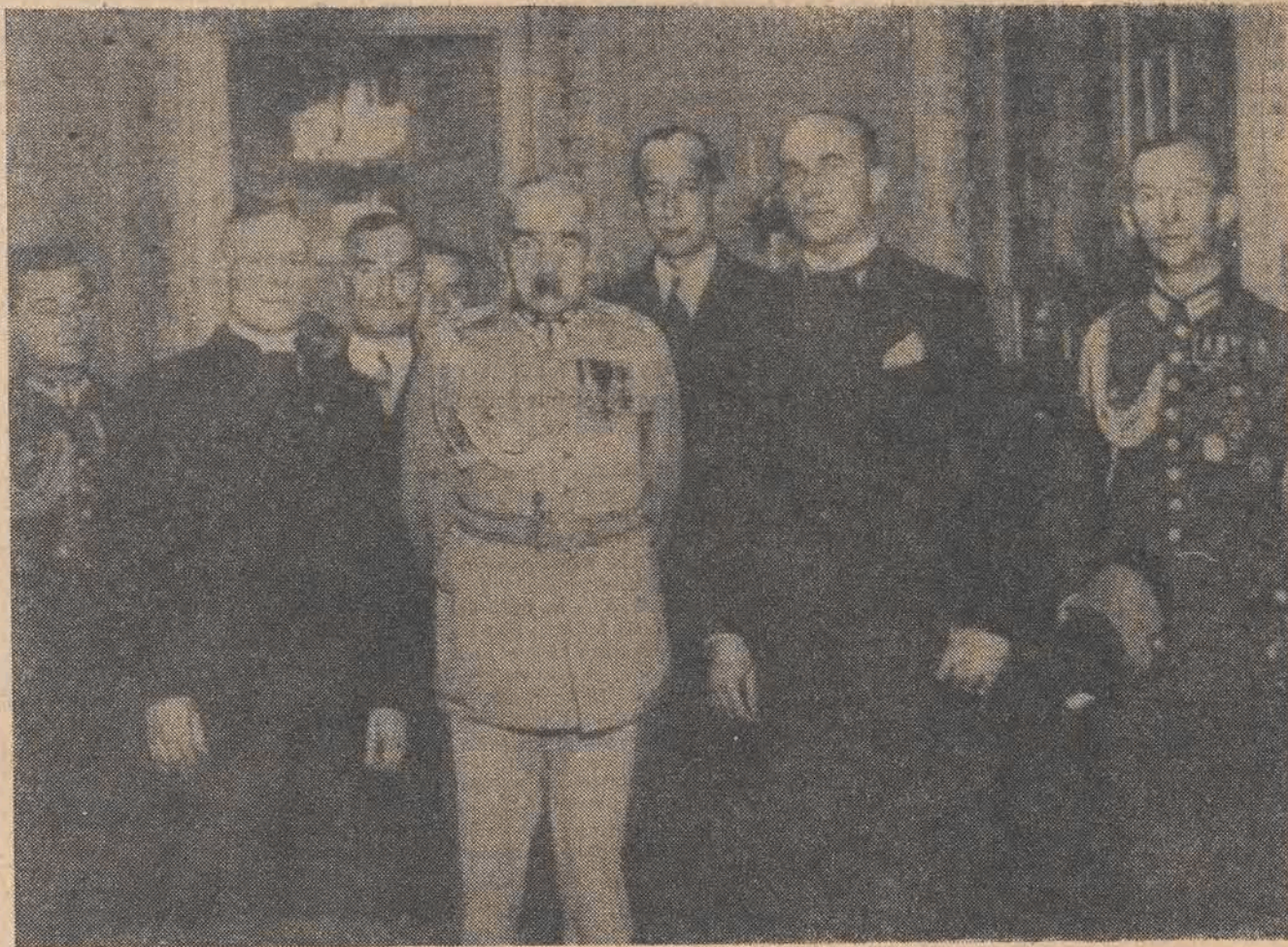
Wobec tego powinnismy być łacni na program inny. Zrobić z Gdańska coś, co by przypominało Ryż lub Lwów w cesarstwie rosyjskim. Był to wtedy miasto niemieckie, pomalutko odgermanizowane z dołu przez ludność zamieszkałą naokoło, gospodarczo najzupełniej związane z Rosją, miasto z ludnością zupełnie wobec Rosji lojalną, wśród której nikt nie prowadził jakiegokolwiek propagandy polaczenia się z Niemcami.

To był plan, który moim zdaniem, w warunkach z 1935 roku mógł być podstawą realnej i konkretnej polityki. Oczywiście. Gdańsk roll się wtedy od swastyki. Lojalność wobec Polski nie było żadnej, a jednak korzyść która ludność Gdańska miała z Polski, była niewątpliwie wielka. Toteż proponowałem, aby w stosunku do Gdańska: (1) nie dać się suggestionować możliwościom predkieru spolonizowania tego miasta pod względem narodowym; (2) ocenić Gdańsk jako wielką dla nas sprawę gospodarczą. Stosunki i politykę naszą w Gdańsku orzecz na ciępliwym gospodarstwie związanym z tym miastem z Polską. Uważałem, że trzeba, by Polska usunęła z Gdańska Włochów i proklamowała polityczną niezależność tego miasta, związując te jednocześnie szeregami umów gospodarczych, które by zbliżyły go do Polski.

Nie mam zamiaru podejmować dziś dyskusji o słuszności tego planu. Wspominał tu o nim nie dla polemiki ale tylko i wyłącznie dla charakterystyki polityki Becka. Oto po mojej inicjatywie nasze ministerstwo spraw zagranicznych bardzo nieprzejmennie wystąpiło przeciwko moim artykułom, a Beck oświadczył na sejmowej komisji spraw zagranicznych, że tego rodzaju projektem stanowczo się przeciwstawia.

Mój plan był słuszny, albo słuszny nie był. Nie o to tu chodzi. Ale powtarzam: albo Beck nie liczył na dalsze odręczenie naszych stosunków z Niemcami, a wtedy trzeba było ze wszystkich sił przeszkadzać im w umacnianiu się, czego w polityce Becka nie widziałem; albo spekulował na to odręczenie, robił z niego kamień węgielny swej polityki, jak to myślała cała Europa, a wtedy trzeba było dążyć do jak najszybszego załatwienia, czy też prób załatwienia spraw spornych i jątrzących między nami i Niemcami, które były zarzewiem grożącego nam pożaru. Zapewne odpowiedział mi zwolennicy Becka, że takie plany były, że istniały plany dotyczące nawet Gdańska. Bardzo łatwo ex post powiedzieć, że się miało plany; trzeba było nie tylko je po-

Stanisław Cat-Mackiewicz

WIECZÓR²

Prezydent Senatu Wolnego Miasta Gdańska, hitlerowiec Artur Greiser (drugi na prawo od marszałka Piłsudskiego) z wizytą w Belwederze 7 stycznia 1935 r.

gla za czasów wojny z Burami, jakże osłabiona była Rosja za czasów wojny japońskiej. Polska prowadziła wciąż quasi wojnę z Niemcami, państwem od nas o wiele silniejszym. Narodziła się wola: nikt pokój, czy też zawieszenie broni. Musiało to ją wzmożnić niepomniennie. Dopiero teraz poczuł się, i poczuł świat, że mamy 35 milionów ludności, liczną armię, pracowita ludność o niezrównanym patriotyzmie. Waga gatunkowa Polski od razu zwiększyła się o całą wagę i wartość różnicy wojny a pokoju. Beck z ministrem, który na innych wycieczkach, stał się ministrem, na którego oczekiwano w Europie. Beck przypisywał to swoim własnym zdolnościom dyplomatycznym i potrafił mówić to innym ludziom, ale było to po prostu skutkiem kardynalnej zmiany sytuacji Polski, która z państwa osłabionego wojną, przeistoczyła się w państwo korzystające z pokoju.

Odręczenie stosunków z Niemcami w r. 1934 trzeba uważać za posunięcie słuszne, rozumne, zbawienne. Przyznawali to mi wtedy wszyscy najjaśniejsi zwolennicy orientacji francuskiej, choć może teraz o tym zapomnieli. Chodziło tylko o to: co dalej? Polska wyszła ze stanu quasi wojny z Niemcami, w którym przez lata pozostawała, gdyż jej sojusznik Francja był w stanie pokoju z tymi Niemcami, Polska wyrównała swój

stosunek z Niemcami i po wyrównaniu miejsca Polski w starciu państw europejskich, wybrała sobie odpowiedniego momentu do zorganizowania ogólnoeuropejskiej ofensywy przeciw Hitlerowi.

Beck gotów mi odpowiedzieć, że taką ofensywę zorganizował, że Anglia a nawet Francja ruszyły się w obronę Polski w 1939 roku, czego wcześniej nie chciały zrobić dla Czechosłowacji. Odpowiadam mu wyrazem: za późno. Gdyby Beck, przez cały czas swojej polityki miał tylko i wyłącznie na widoku ewentualne uzyskanie momentu dla ogólnej ofensywy przeciw-niemieckiej — jak to dzisiaj niektórzy mali bekowicze usiłują mi wmawiać — nie byłaby zrozumiała jego polityka nawrotu do paktów dwustronnych, jego polityka sprzeciwiająca się paktom ogólnego bezpieczeństwa, jego polityka antylogowa i jego polityka czeska.

Czy było możliwe przyjęcie oferty Hitlera wspólnej wyprawy antysowieckiej? Zakładam, że Hitler dążył do niej całkiem szczerze i oświadcza z góry, że było to niemożliwe ze względu na stanowisko państw europejskich, które bynajmniej swej neu-

dzy sobą. Państwa syte, to Ameryka, Anglia, Francja, Skandynawia, Holandia, Szwajcaria. Państwa głodne to Japonia, Rosja, Niemcy, Włochy...

Otóż powtarzam: dla państw sytych daleko lepszą kombinacją byłaby wojna państw głodnych między sobą i zaspokajanie potrzeb jednego państwa głodnego możliwościami drugiego państwa głodnego, aniżeli front państw głodnych przeciwko państwom sytnym.

Ale z przyczyn, których rozpatrywanie przechodzi zakres pracy niniejszej, Francja i Anglia nie pozwoliłyby Hitlerowi podbić Rosji, wobec czego cała wyprawa Hitlera na Rosję była chimeryczna.

Jednak trzeba tu zaznaczyć, że zarówno myśli o wspólnej z Hitlerem wyprawie na Sowietów jak też myśli o jakimś na czas dłuższy i stałym odręczeniu stosunków polsko-niemieckich, wymagały od Becka przede wszystkim zajęcia się załatwieniem spraw spornych pomiędzy Polską a Niemcami — spraw jątrzących, palących, uniemożliwiających współżycie. Takimi kwestiami były: Gdańsk, mniejszość niemiecka w Polsce, mniejszość polska w Niemczech.

śladać, ale i realizować, przynajmniej próbować realizować. Beck pomagał Niemcom do umacniania się gdzie indziej, a w stosunkach polsko-niemieckich pozostawiał sprawę nie uregulowaną i nie załatwioną.

VI

OKÓLNIAK Z DNIA
13 CZERWCA 1936 R.

Dnia 13 czerwca 1936 roku Składkowski wydał okólnik, w którym powołując się na rozkaz prezydenta ogłaszał Śmigłego-Rydza za drugą osobą w państwie, przy czym oświadczył, że wszyscy ministrowie winni mu okazywać szacunek i posłuszeństwo.

Okólnik ten był złamaniem konstytucji i Składkowski powinien był odpowiedzieć za jego wydanie przed trybunałem stanu.

Mniejsza oczywiście o tę „drugą osobę”, jakkolwiek i to nie było w porządku, bo drugą osobą w państwie był marszałek senatu, skoro w razie śmierci lub rezygnacji prezydenta był wyznaczony na jego zastępcę, do chwili elekcji nowego prezydenta. Ale instytucja „drugiej osoby” nie była przewidziana w konstytucji, więc ta kwestia, redukująca się do porządku ustawiania foteli na nabożeństwach i uroczystościach co tak interesowało i uroczystości Rydza, miała znaczenie drugorzędne.

Inaczej było z „posłuszeństwem”, którego dla Rydza Składkowski od ministrów w okólniku wymagał. Żądanie to łamało, drugą całą konstrukcję konstytucji 23 kwietnia, wywracało ją do góry nogami. Według tej konstytucji rząd, sejm, sądy, wojsko i kontrola państwowa pozostawały pod zwierzchnictwem prezydenta, generalnego inspektora sił zbrojnych prezydent mianował bez kontrasygnaty. Miało to wszystko na celu całkowite wyodrębnienie władzy generalnego inspektora sił zbrojnych od zależności od rządu i sejmu, izolowanie go od polityki wewnętrznej. Prezydent miał jakby dwa ramiona: jedno — władzę cywilną, rządową, polityczną, odpowiedzialną przed sejmem, tj. rząd; drugie — władzę wojskową, apolityczną, przed sejmem nie odpowiedzialną, tj. generalnego inspektora sił zbrojnych. Okólnik Składkowskiego umieścił Rydza pomiędzy prezydentem i rządem, czyli wprowadził go z powrotem w politykę, uczynił z niego, jak i z instancją pośrednią pomiędzy prezydentem a rządem, uczynił go także odpowiedzialnym za rząd, bo przecież odpowiada się za ludzi, którzy wobec ciebie są obowiązani do posłuszeństwa.

Według konstytucji rząd był odpowiedzialny przed sejmem, generalny inspektor sił zbrojnych nie odpowiedzialny. Odpowiedzialność za ten zakres spraw wojskowych, który wchodził w kompetencję rządu, obciążała ministra spraw wojskowych wraz z całym gabinetem, ale generalny inspektor sił zbrojnych miał za zadanie przygotowywanie wojny i by mu przenieść władzę, aby mu zapewnić największą swobodę ruchów, był on przez konstytucję od odpowiedzialności przed sejmem zwolniony. Teraz, skoro Rydza ministrowie mieli być posłuszni, stał się tym samym za nich odpowiedzialny, a więc via rząd stał się znów dostępny dla krytyki sejmowej.

Dalej nie można było iść w łamaniu całej prawnej konstrukcji konstytucji 23 kwietnia. Były to polamania jej najbardziej zasadniczych sprężyn za jednym zamachem. Ale Mościcki i Składkowski nie dbali o to, Składkowski nie rozumiał, że jako premier nie ma prawa być posłusznym. Dla Składkowskiego, jak i dla prezydenta, „kazali” Składkowski nie rozumiał, że jako premier nie może spełniać niczych rozkazów, nawet prezydenta, że za swoje akty rządzenia sam jest odpowiedzialny. Ze winien sam być przemówić, że ani nie ma prawa zastępować się nieczym rozkazem ani też nie może wykonywać czyichś rozkazów, o ile nie odpowiada on całkowicie jego sumieniu.

Ala, jak powiedziałem, kwestie prawne, kwestie konstytucyjne nie odgrywały dla Mościckiego i Składkowskiego żadnej roli. Stronictwo w sejmie nie było, bo stronictwa bojkotowały konstytucję, czemuż Mościcki i Składkowski nie mieli tej konstytucji bojkotować, zbliżając się do wygodnego totalizmu? Konstytucji nie bronili nikt, poza Sławkim mającym przeciwko sobie i całą opozycję, i rząd, i prezydenta, i Rydza, nie mającym już teraz żadnej organizacji politycznej. Opozycja nie rozumiała, że lepsze jest nie nawet prawo, niż brak prawa, i swoim stosunkiem do konstytucji ułatwiała grę tym, którzy pchali Polskę ku totalizmowi. Mościcki

ki widział w okólniku Składkowskiego, który istotnie „kazał” mu wydać, tylko pociągnięcie polityczne. Mościcki, niestety, nie był Wojciechowskim dbającym o przestrzeganie przysięgi, którą złożył. Polityka, którą uwiadamiał przez okólnik Składkowski, udała mu się znakomicie. Rozumiał, że są koła, które chcą go usunąć na rzecz Rydza, rozumiał, że jest niepopularny i niepoważny, a że Rydz jest popularny, zamiast więc usuwać się, dawał Rydzowi miejsce koło siebie, żądał dla niego posłuszeństwa od ministrów, dawał mu buławę i wszystko, czego Rydz chciał. Ponieważ bez zrzeczenia się prezydentury, nie mógł zadowolić ambicji Rydza w ramach konstytucji, więc aby Rydza zadowolić, konstytucję tę łamał. Natrafił tu na odpowiedniego człowieka, który do zewnętrznych, snobistycznych objawów przywiązywał jak największą wagę, dla którego nie treść władzy, lecz forma władzy była zaspokojeniem ambicji.

Rydza powszechnie nazywano „Naczelnym Wodzem”, używał tego terminu także prezydent w aktach urzędowych, chociaż według konstytucji instytucja Naczelnego Wodza, mająca specjalne i bardzo ważne uprawnienia, istnieć miała dopiero od chwili wybuchu wojny. Ale jakie to miało znaczenie? „Naczelnym Wódcą”, posłuszeństwo ministrów, odpowiedzialność przed sejmem — wszystko to były zagadnienia puste, ponieważ zbliżaliśmy się i tak do totalizmu, ponieważ konstytucji 23 kwietnia nikt nie chciał przestrzegać, jedni, jak Mościcki i Rydz, dlatego, że nie była im na ręce, inni, jak opozycja, dlatego, że ją bojkotowali. Jeszcze inni, jak posłowie na sejm i senatorowie, dlatego, że kierowali się względami oportunistycznymi. „Słowo” wileńskie broniło konstytucji, ale nie czuliśmy, aby dawało to nam popularność wśród czytelników.

Podanie ministrów Rydzowi jako „Naczelnemu Wódcy”, znalazło też swoje uzasadnienie ideowe, wyszukując patriotyzmu Polaków, tego niewątpliwie najbardziej patriotycznego narodu na kuli ziemskiej, a także małe zainteresowanie naszych rodaków techniką rządzenia. Powiadano: wojna nowoczesna nie jest wojną armii, lecz wojną całego narodu, wszystkich jego sił ekonomicznych, społecznych, technicznych, a więc, — wszystko powinno być poddane „Naczelnemu Wódcy”. Założenie było arcyślusne, wnioski arcyfalszywe, chociaż powtarzali go częstokroć ludzie inteligentni. Wręcz odwrotnie, z tego założenia, że w wojnie nowoczesnej biorą udział wszystkie siły narodu, można było wywnioskować o konieczności jakiejś koncentracji władzy, ale nie o potrzebie złozenia władzy w ręce szefa armii. Bo to, że obecnie wojuje nie tylko armia, ale i cała ludność wskazuje raczej na pomniejszenie roli naczelnego wodza, niż na jej powiększenie. Wtedy gdy wojowała tylko armia, gdy wojna redukowala się tylko do armii, w prowadzeniu wojny naczelnym wodzą był wszystkim. Obecnie, wojnę prowadzi musza i finanse, i koleje, i ci, co budują szosy, i ci, co myśla o motoryzacji, i ci, co robią wynalazki w dziedzinie lotnictwa. U nas dość powszechnie rozumowano w sposób zabawny: ponieważ wojna nowoczesna „absorbuje wszystkie siły narodu, więc niech generał będzie ministrem kolei a pułkownik wojewodą. Było to rozumowanie śmieszne, przecież z założenia, że chirurgia w Polsce powinna się przygotować do wojny, niepodobna wykluczyć wniosku, że operować chorych ma nie lekarze, ale przemyślnicy kawalerii. Właśnie dlatego, że w wojnie nowoczesnej biorą udział koleje, bankowość, wyżywienie, rolnictwo, nauka, itd., trzeba było wykluczyć wnioski natury odwrotnej, a mianowicie, że na czele kolei, bankowości, itd. musza stać jak najlżejsi fachowcy, właśnie dlatego, by do wojny chowić te rezerwy przewoźnicze. Opracowanie planu wojennego wymagało oczywiście także współdziałania finansów i możliwości komunikacyjnych, żywnościowych, itd. Polski, ale w opracowywaniu tegoż planu wojennego byli potrzebni także ludzie znający się na swoich rezerwach, a nie ludzie znający się tylko na wojsku.

Gdybyż się przynajmniej na wniosku znali! W ogóle trzeba przyznać, że historia każdej wojny wskazuje, że generałowie najgorzej zawsze przygotowują wojnę. Kitchener powiedział w początkach tamtej wojny, że wystarczy dwa karabiny maszynowe na batalion, a posiadanie więcej niż cztery karabiny maszynowe na batalion jest szkodliwe. Nie jest to przykład odosobniony, przeciwnie, regułą jest, że generałowie nie liczą się z tym, iż każda wojna wygrywa się przez wprowadzenie nowych technicznych środków do walki. Ale Rydz nie tylko posiadał wady ogólnogeneraalskie pod tym względem, ale prócz tego był jakimś specjalnie złym, specjalnie nieinteligentnym wojskowym. Wydawał rozkazy wprost humorystyczne. W ogłoszeniu o pogrzebie nie wolno było wymienić, że zmarły był np. podporucznikiem rezerwy 20-go pułku piechoty, bo to... tajemnica wojskowa. A historia z „żywym torpedami”? Na jej temat można pisać wac makabryczne groteski, wskazując, że ten „wódz”, który żądał od ministrów posłuszeństwa w imię prymatu interesów wojskowych, nie znał przede wszystkim sam zagadnień wojskowych.

(c.d.n.)

NIEUSTAJĄCA LEKCJA HISTORII

Dalszy ciąg ze str. 1

mał wszystkie redakcje pism zasypywane są listami, które w zaledwie drobnej części i to mocno okrawane są udostępniane czytelnikom na łamach prasy. Nie wyklucza to oczywiście faktu, iż co poniektóre redakcje cierpiące na niedosyt nadsyłanej korespondencji, w ramach popierania linii ideologicznej pisma same wysmażają odpowiednie korespondencje z reguły podpisywane jakimś nie znaczącymi inicjałami.

Te dość dygresyjne wstępne rozważania nasunęły mi się w trakcie lektury trzeciej kolejnej książki sygnowanej przez Mieczysława F. Rakowskiego „Od sierpnia do grudnia 1980. Listy do Mieczysława F. Rakowskiego”. Książki, której autorami są zarówno czytelnicy tygodnika „Polityka”, jak i jej adresat, czyli Mieczysław Rakowski. Uznać bowiem należy za fakt oczywisty, iż nie byłoby tych listów, gdyby nie artykuły i wypowiedzi naczelnego „Polityki” zamieszczane na łamach tego tygodnika, wypowiadane na forum Sejmu, plenach KC, w telewizji, czy wreszcie na spotkaniach z czytelnikami.

Tak więc autorów tych listów jest dwóch — najczęściej anonimowi czytelnicy oraz w gruncie rzeczy pozostający w cieniu ich inspirator czyli Mieczysław F. Rakowski. Każdy z tych listów traktowany indywidualnie, krótki posiada żywot i w dobre jakże niesłychanie zawrotne tempo wydarzeń dezaktualizuje się niemal z dnia na dzień. Zebrane jednak w całość, poddane na swój sposób systematyzacji, przeobrażają się nagle w socjologiczny obraz nastrojów społecznych jakie panowały w naszym kraju w drugiej połowie ubiegłego roku. I myślę, że wszelkiego rodzaju prace publicystyczne jak i rozprawy naukowe nie są w stanie oddać prawdziwego klimatu społecznego w tym kraju jaki zapanował bezpośrednio po wydarzeniach sierpniowych.

II

Tak więc autorem tej książki — jak na razie jedynej w swoim rodzaju dotyczącej bezpośrednio sytuacji umysłowej jaka zapanowała w naszym kraju po przełomie 1980 roku — jest około siedmiu tysięcy czytelników „Polityki” i telewizorów. Ale jest też — jako się powiedziało — jej autorem i Rakowski, którego na podstawie tej właśnie korespondencji można by było ogłosić jednym z najbardziej popularnych ludzi roku w Polsce. Inna sprawa, że listy te wywołane były wystąpieniami publicznymi obecnego wicepremiera, które komentowane na gorąco, budzące zachwyt i ostre sprzeciwy, dziś już uległy zapomnieniu i tylko możemy w oparciu o tzw. korespondencję domyślać się ich treści i tonu. Jednakże ich obecna nieznanieść w niczym nie przeszkadza w lekturze listów, które stanowią jakby nie było obiektywną wartość samą dla siebie.

Bo chociaż zawierają nieraz skrajnie subiektywne i nawzajem znoszące się opinie i oceny tego wszystkiego co się wówczas w naszym kraju działo, przez swoją masowość stają się z obiektywizowanym materiałem źródłowym. Stają się jednym z najciekawszych aneksów do współczesnej historii Polski. Obrazują też przede wszystkim jakimi kategoriami myślało wówczas społeczeństwo, jak przeciętny obywatel tego kraju odrażywał szokujący wręcz ogrom wydarzeń natury społeczno-politycznej. Jakby bowiem nie patrzeć na te listy, rację mają zarówno ci, którzy w rozgrywanej się wówczas odnowie dostrzegali jedyną szansę wyjścia z ostro rysu-

(3)

Jeszcze w dniach sierpnia ludzie są zaszokowani tym co się dzieje w kraju. Nieustanny brak pełnej i rzetelnej informacji pogłębia jedynie chaos w myśleniu i wartościowaniu zdarzeń, które poprzez plotkę nabierają zupełnie innych wartości. Wystąpienia na łamach prasy i w telewizji niektórych działaczy politycznych nawołujących do zaprzestania najpierw przestojów, a później już strajków i żądań, jeszcze bardziej dezinformują ludzi oplecających całą swą wiedzę społeczno-polityczną na środkach masowego przekazu.

I dopiero z czasem następuje polaryzacja poglądów piszących, niejednokrotnie wręcz ekstremalne żądania, bądź ustąpienia partii i rządu, bądź totalnej likwidacji tych wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób przeciwstawiają się dotychczasowemu ładowi. Są oczywiście i listy — głosy rozsądku ukazujące rozczarowanie ludzi, którzy zawierzyli poprzedniej władzy, którzy w 1970 roku uwierzyli, iż nigdy więcej nie powtórza się wypaczenia z lat 1956, ani tym bardziej sprzed 1970 roku. Ale też tym większe rozgoryczenie i rozżalenie jest tych ludzi. Ci ludzie też piszą najszybciej, traktując nie bez racji swojego interlokutora czyli Rakowskiego za swoliste medium, poprzez które mogą przekazać swoje niezadowolone. Tylko, że bardzo szybko Rakowski staje się dla swoich korespondentów nie tyle mężem opatrnościowym, co kimś, kto jest w stanie sam jeden przeprowadzić naprawę sytuacji w kraju. I nie dziwny jest temu. Po prostu ludzie potrzebują i to nieustannie w coś lub w kogoś wierzyć. Wszelka bowiem, nawet najbardziej szlachetna idea wymaga personifikacji, musi posiadać konkretnego, znanego z imienia i nazwiska nosiciela.

Coraz bardziej też listy stają się do siebie podobne. Z jednej strony nieustanne inwektywy, obraźliwe słowa, akty oskarżenia, z drugiej zaś zniecierpliwienie przedłużającą się sytuacją niepewności i społecznego napięcia, żal z powodu odebrania zaufania do władzy, pozabawienia wiary w ludzi, z którymi przez całe dziesięć lat kazano utożsamiać idee.

IV

Jeśli przyjąć, że te siedem tysięcy w gruncie rzeczy anonimowych listów, prezentuje ówczesne nastroje, poglądy i opinie całego społeczeństwa, to stwierdzić należy, iż wydarzenia gdańskie stanowiły nie tyle kryzys wiary, co szok spowodowany odkryciem prawdy, której przedtem jedynie się domyślano. Tylko, że jak zwykle bywa, błędy i przewinienia jednostek z najwyższego szczebla przerzucono na całą partię, na cały aparat władzy. Stąd w listach coraz bardziej zaczyna się pojawiać zmęczenie, zniechęcenie i niewiara, aby nagle głoszona odnowa mogła przybrać realne kształty. Ale też coraz więcej czytelników nadsyła konkretne propozycje uzdrowienia sytuacji społeczno-politycznej w kraju. Są one tak różne, że gdyby chciał je nagle wszystkie realizować powstałby jeszcze większy galimatias, aniżeli ten, który wytworzył się w wyniku wydarzeń sierpniowych.

Jednakże nie uzdrowicielski aspekt tych listów jest tu najważniejszy, chociaż jest on nie bez znaczenia. Jeśli chce się przedśledzić jak w ostatnich miesiącach ubiegłego roku przebiegała terapia społeczno-polityczna narodu. Tyle tylko, że dziś z perspektywy blisko roku wiemy, że na terapię wciąż jeszcze było za wcześnie i że raczej miedysięcie przebiegało pod znakiem odkrywania wciąż nowych nieznanych prawd o minionym dziesięcioleciu. I że tak na dobrą sprawę to społeczeństwo pragnęło odnowy równocześnie pragnęło pełnego rozliczenia z niedawną przeszłością.

Przyszli badacze naszych czasów, a szczególnie socjologowie, dokonując będą na tych listach swolistej wywieski, szufladkować poruszane tematy, o-biektualizować i bezrozniekować, ale niepodobna zrozumić na wielu odcinkach wręcz chaosu, elementarnych luk produkcyjnych i organizacyjnych problemów gospodarczych, tolerowania kolejek, braku wielu lekarstw w aptekach, dowolnego otwierania i zamykania sklepów, błaganu powodowanego bezustannymi remanentami, remontami, odbiorem towarów, a w gruncie rzeczy całkowitym lekceważeniem interesów społeczeństwa. Można by te listy... wydłużać w całej litanii, nie więc dziwnego, że się w końcu co najmniej część ludzi zrywała i podjęła strajki. To można zrozumieć i uzasadnić...”

TADEUSZ
J. ŻOŁCIŃSKI

Od sierpnia do grudnia 1980. Listy do Mieczysława F. Rakowskiego. Czytelnik Warszawa 1981, s. 448.

Trupi zaduch obyczajowej zgnilizny, jaką Boy cuchnie i zakłada naokół atmosferę narodu polskiego (przeczmy jego postępowanie... ustępem), drażni powonienia wiernych. Błyskotliwemu na zewnątrz, wewnątrz zaś zgangrenowanemu deprawatorowi, dla którego najodpowiedniejszym schronieniem byłaby chyba polinezyjska wyspa Tahiti, zamieszkała przez najbardziej rozpustne plemię na świecie...

Komu jeszcze nie spada łuska z oczu i nie przejrzał celu zamiatanej propagandy p. Boy'a — tego szkoda przekonywać: ten świadek aprobuje zgniliznę i demencja seksualis osobnika... dla którego genitalia non sunt turpia... Tak o świetnym pisarzu, Tadeuszu Boy'u Zelenickim, pisał w 1936 roku niejaki pan Czesław Lechicki w swoim dwutomowym dziele pt. W walce z demoralizacją. Był autorem wielu w podobnym stylu utrzymywanych artykułów, a także Przewodnika po beletryście. Ze wszystkiego co napisał wynikało, że cała literatura, sztuka, sport, obyczaje, zabawa — to jedno wielkie bagno ohydnej rozpusty. Niech by

sobie tak zresztą i myślał, „die Gedanken sind zollfrei“ — czyli od myślenia cła się nie płaci. Ale jakim językiem się posługiwał, aby dać wyraz swym poglądom! Poglądy były jaskiniowe, a język wredny. Tylko obskurna dewocja, czyli

adresem krytyka, który ośmielił się mieć inne zdanie niż to, jakie w przekonaniu autora notatki należy mieć o filmie Wajdy. I już nieważne, czy Kałużyński miał rację, czy „Przekrojowy” sprawozdawca. Ważne jest to, że oto znów

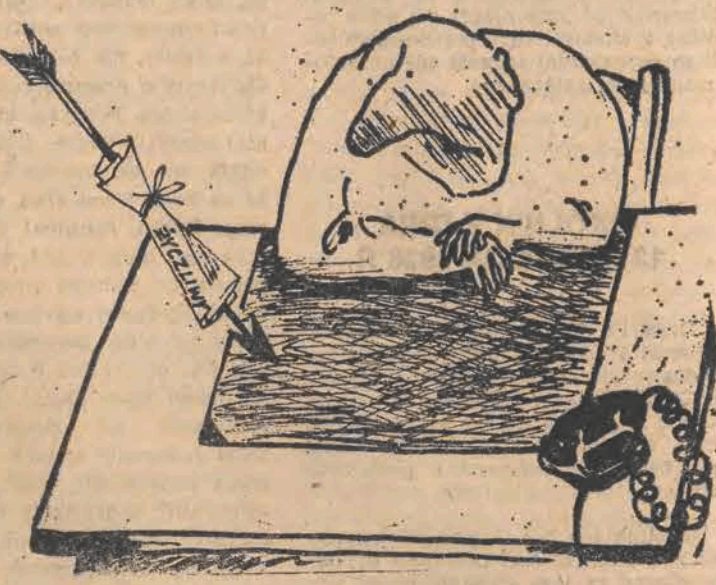
„TYDZIEŃ W KULTURZE”

ślepa, ciemna, zadowolona z siebie nietolerancja może chwycić się takiego stylu w publicznej wypowiedzi. Po co argumenty, kiedy łatwiej sięgnąć po inwektywy? Podobną atmosferą zapachniało mi nagle, gdy czytałem w Przekroju z 9 sierpnia br. anonimową rubryczkę Tydzień w kulturze. Ktoś nie podpisał relacji tam wejście na ekran Człowieka z żelaza: Nagrodzony w Cannes i Łagowie, zapowiedziany atakiem krytyka, który jeszcze tak niedawno radośnie rechotał i szczyrzył zębiska w telewizji Macieja Szczepańskiego... Ile zapiekłej złości jest w tych słowach! Oczywiście złości pod

mamy do czynienia z klasycznym przejawem dewocji, zawsze takiej samej, choć opatrzonej innym znakiem kierunkowym. Jeżeli takie epitety zawiera Tydzień w kulturze, to co będzie w rubryce Tydzień w maglu? W dodatku dowiadujemy się, że krytyk nie tylko rechotał i szczyrzył zębiska, ale czynił to w telewizji Macieja Szczepańskiego! Nie daj Boże przypomnieć, że filmy Wajdy też wyświetlała telewizja Szczepańskiego. Chociaż zaraz... No tak, przecież „Rzeczywistość” już to przypominała, z takim samym, tak samo ukierunkowanym podtekstem jak „Przekrojowa” wzmianka o

Kałużyńskim... Bardzo nie lubię dewotek. Leżenie krzyżem, padania placikiem, spojrzeń zamglonych od uwielbienia, absolutnych adoracji i absolutnych potępień. Nie lubię takich artykułów jak ten o działaczku „Solidarności” wiejskiej, Jasku Antole („Przekrój” z 7.VI. br.): Ja wam mówię, że stanie się jakiś cud, że Matka Boska tak ich wszystkich załmi, że podpiszą i sami nie będą wiedzieli, co podpisują. To przedstawiciele rządu miała załmić Matka Boska. To oni mieli podpisać w zamian, nie wiedząc co podpisują. Mam opowiadać dalej? — pyta Jasek Antol. — Tatuż za oknem stoją wysokie i niezależne w swej urodzie...

Przepiękny jest ten obrazek: młody działacz na tle potężnych Tatr. Zupełnie jak w czytankach dla młodszych dzieci „na akademii ku czci”: pan wojewoda wszedł na trybunę i w tej samej chwili słońce przedarło się przez chmury. Wszyscy cieszą się i śmieją z radości, tylko niedobry Dyzio rechoce i szczyrzy zębiska.



Rys. ANDRZEJ GRUN

ZDARZENIA I ZWIERZENIA WEEKEND DLA UCZNIA

Parę miesięcy temu, na wieść o szalonym pomysle wolnych sobót w szkołach, napisałem felieton, którego argumentacją nie będę przytaczać, ale do dwóch spraw chciałbym wrócić. Otóż — po pierwsze: istnieje na świecie bardzo wiele krajów o długoletniej tradycji wolnych sobót, w których to krajach w soboty czynne są szkoły, handel, usługi, prasa — i nikomu nawet do głowy nie wpadnie organizowanie tego dnia czegoś na kształt powszechnego letargu.

Po drugie — przed paroma miesiącami najczęstszym argumentem za skróceniem nauki szkolnej do pięciu dni było... żądanie rodziców, którzy w soboty wyjeżdżają na weekendy. Argument od początku uważałem za nieporozumienie. Nie mogę sobie bowiem wyobrazić tych milionów rodzin jadących na sobotę i niedzielę do swoich letnich domków, na działki i pola namiotowe. Jest to wizja nierealna, pasująca może do wymarzonej Japonii, lecz nie do nas, i to jeszcze w tej sytuacji.

Ostatnio minister Bolesław Faron, mówiąc o wolnych sobotach, powiedział nieco inaczej. Powiedział mianowicie, że to związki zawodowe nauczycieli domagały się wolnej soboty. A więc nauczyciele, nie rodzice — i w ten argument istotnie wierzę. Tylko czy jest to w ogóle jakiś argument? Gdziekolwiek na świecie, jeśli ktoś chce korzystać z dobrodziejstw pięciodniowego tygodnia, nie idzie do pracy w szkole, elektrowni, sklepie, prasie, w usługach, komunikacji itp.

Minister Faron powiedział jeszcze, że owe wolne soboty w roku szkolnym 1981—1982 traktuje się jako eksperyment. Węzłów kolejnym eksperymentem w polskim szkolnictwie.

W powszechnych dyskusjach i na forum Sejmu podnoszone wielokrotnie sprawy istotnych ograniczeń w programach nauczania np. historii i literatury ojczystej. Jako skandal określono — i słusznie! — brak godzin lekcyjnych historii w zasadniczym szkolnictwie zawodowym.

Teraz, żeby wilk pracowniczych żądań był syty i owieczka nauki cała — wymyślono, że w tychże szkołach zawodowych skróci się o jeden dzień... naukę zawodu. Wyjście rzeczywiście godne Salomona.

Tylko, że znów za parę lat jakiś inny poseł na innej sesji Sejmu, będzie wołał, że absolwenci znają co prawda datę bitwy pod Chocimem, ale nie potrafili wykonać jakiejś operacji na prostej maszynie. W czasopiśmie „Student” Bronisław Maj, pracownik naukowy Uniwersytetu Jagiellońskiego, spisuje swoje wrażenia z tegorocznych egzaminów: „tegoroczna maturzystka ode mnie dowiedziała się, że Gabriela Zapolska i Zofia Nałkowska to dwie zupełnie różne osoby; jej kolega podstępnie zapytany o kompozytora nazwiskiem Fryderyk Chopin, po długim namyśle przypomniał sobie, że chodzi prawdopodobnie o twórcę naszego hymnu narodowego...”

Takich „kwiatków” każdy egzaminator na każdej uczelni może zaprezentować całe bukiety. I w tej sytuacji „weekendowy” argument okazał się — mimo wszystko — decydujący. Wyrwano młodzieży z programu nauczania cztery dni w miesiącu, ubolewając jednocześnie, że młodzież tak mało wie o historii i literaturze własnego narodu. Nie potrafili zrozumieć tej sprzeczności.

Nie jest to zresztą jedyna sprzeczność, której nie potrafili zrozumieć w naszej meandrycznej rzeczywistości.

TELEWIZJA

Po dwóch miesiącach, kiedy znów włączyłem telewizor z myślą o „Odgłosowej” służbie recenzenta, trema zdekoncentrowała mi wzrok. Mimo przeszło dwuletnich doświadczeń telewizora z profesjonalnymi niemal obowiązkami, poczułem się nagle jak debiutant. Przez dwa miesiące nie oglądałem telewizji, nie czytałem gazet (z wyjątkiem „Głosu Wybrzeża” pożyczanego zresztą od jakiegoś szczeniaka — bo prenumeratorka), nie miałem w ręku żadnych tygodników. Takie były okoliczności, na które nie miałem wpływu. Słuchałem natomiast radia, ale — jak miało się to okazać któregoś dnia — też mało zapobiegliwie. Otóż, gdy za drobne (ocena moja, więc subiektywna) wykroczenie drogowe zostałem zatrzymany przez milicję, pierwsze pytanie, które mi zadano brzmiało: „Czy słucha pan „Lata z radiem”? Całkiem zbity z pantyku powiedziałem prawdę. Że nie. „No właśnie” — odrzekł sierżant sposobiąc mandat. Zapłaciłem trzysta. A po powrocie do urlopowego locum nie odstąpiłem od radiodbiornika, aż nie rozwiązałem zagadki, zawartej w bulwersującym przecie pytanii sierżanta z modnym wąsem a la Wałęsa: do dziś dnia, nie bez rozrzewnienia słucham refrenu Andrzeja Rosiewiczza „Już go mają chłopcy, chłopcy-radarowcy”, a zwłaszcza puentę „I zapłacił trzysta, bo to był artysta” (ma się to wysokie mniemanie o sobie!).

Kiedy w ciągu ostatnich dni odrabiałem (bezsukcesie — słowa dewaluują się jeszcze szybciej niż złotówka) lektury tygodników, zwłaszcza tych z końcówką na „ość” w tytułach, doszedłem do wniosku, że aby trafić we właściwy ton, powinienem zatytułować swój tekst „Oświadczeniem”, „Protestem”, „Uchwałą”, albo co najmniej „Listem otwartym”, czy najskromniej, acz też en vogue, „Listem do redakcji”. Krytykowano w swoim czasie tak zwaną „nowomowę”, która pieniała się w naszym życiu polityczno-publicystycznym. Teraz mamy do czynienia z jakąś — równie zgrzytliwą — neo-nowomową, która wbrew oczywistym faktom, po-graża polską rzeczywistość w demagogii pokrzykiwań, zmyślenia, sloganowej łatwości gazet, gazetek, biuletynów i ulotek. Po drodze gubi się argumenty, po-

pada w zaciętrzewienie, głuchnie. Takie słowa — a i wartości, które za nimi stoją — jak tolerancja, kultura dyskusji, wiarygodność, demokratyzm, publicystyczna odpowiedzialność zepchnięto na powrót do słowników. Wychylny z nich słowa nowe, którymi rozbuchane piśmiennictwo codzienne, to drukowane i

Z DEBIUTANCKĄ TREMĄ

to powielane, posługuje się jak łomem na oślepie. byle mocno! Dlatego też zrezygnowałem z modnego tytułu.

Jak znajduje rodzimą XI muzę, po dwumiesięcznej przerwie? W domu wszyscy zdrowi — chciałoby się odpowiedzieć wymijająco. Z dawnego, weneckiego okna (z różową szybą) na polską rzeczywistość lat siedemdziesiątych, teraz po roku Odnowy zostały złomki. Tu i ówdzie kawałek witraża („Shirley Mac Laine w Lidlo”, „Książę regent szalony z miłości”), który prześwietla dawnymi „barwanami”, znaczna część zatkana dyktą (skrótowa emisja obu programów), a te resztki szczyby, już z prawie naturalną barwą, nie zawsze dają ostry obraz. Nie będę w nie jednakowoż rzucał kamieniami (te zresztą latają ostro!): jeszcze trochę powyglądam. Tymczasem zobaczyłem łódzką inscenizację zapoznanego po trosze dramatu Emila Zegadłowicza (i Marii Koszyco) „Domek z kart (w pełnej wersji, o

czym informowała spikerka — wypada żałować, że tym razem zrezygnowano ze słowa wstępnego). Staranna to inscenizacja i niezłe aktorstwo, choć sam dramat pobrzmiewa nazbyt jawną publicystyką. Jeśli mógł cymś zainteresować współczesnego widza, to jedynie tym, co odnośło się do dnia dzisiejszego. Sądzę, że i inscenizator sztuki podjął ją ze względu na aktualizujące wątki, a nie z powodów kalendarzowo-rocznicowych. Podobny zamysł przyświecał Markowi Piwowowskiemu, którego dokumentalna adaptacja wywiadu Oriany Fallaci z Chomeinem (sobotnie „Studio 2”) była pouczającym wykładem nie bez odniesień do tego czym żyjemy w Polsce w roku 1981.

Gdyby mnie ktoś zapytał jakie programy, po wakacyjnej przerwie, oglądałem z największym zainteresowaniem odpowiedź bez wahania: nasze, łódzkie, lokalne „Wiadomości”. Audycja ta, od wielu miesięcy, jest rzeczywistą panoramą codziennych spraw miasta i jego mieszkańców. Po powrocie chcąc się zorientować w co, raz to bardziej skomplikowanym systemie reglamentacyjno-kartkowym wsłuchiwałem się w informacje redaktorów „Wiadomości”. Okazuje się, że podstawowe prawo kryzysu (im mniej w sklepach, tym więcej kartek) sprawdza się z bezlitosną konsekwencją. Rozburzmani w czasie wakacji chrupiący rogalnikami, chalczykami i masłanymi bułeczkami (wcześnie w RFN, a w Jastrzębiej Górze!) straciłem znaczny procent zregenerowanej tężyzny (w ostatni piątek przed reformą profesora Krasieńskiego) w poszukiwaniu choć półówki razowca. Objasnień oczekiwałem od „Wiadomości” i rzeczywiście. Zdyszany reporter (właśnie przybiegł z cotygodniowego posiedzenia Sztabu przy UMŁ) powtórzył co był usłyszał: awaria w którejś z piekarni. Ponieważ takiego argumentu używano już wielokrotnie (że też te awarie upodobały sobie piątki przed wolnymi sobotami!), ja bym informacje sztabową sprawdził, co niechaj będzie wytyczną dla wszystkich informacji przekazywanych z drugiej ręki.

GRZEGORZ GAZDA

1/3

mini magazyn

OGŁOSZENIA DROBNE

- * Przerabiam stare na nowe i nowe na stare. Oferty — „Odnawiciel”
- * Uczę życia. „Doświadczona”
- * Nie mam „Złota 126p”. Oczekuję propozycji. Oferty pod „Piechur”

HASŁO NUMERU: Czy odebrałeś już kartki na śnieg na zimę?

MANIPULACJA PRZECIW MANIPULACJI
W tygodniku „Nad Wartą” informacje o komunikacji ZŁ Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, przykrojona według dobrze znanych wzorów. W zakończeniu informacji podano, iż „członkowie Zarządu Łódzkiego SDP stwierdzają, że dla uniknięcia dalszych konfrontacji, brzemennych w groźne następstwa, niezbędna jest szybka i rzetelna informacja”. pominięto zaś zdanie, że „nawrót do starych praktyk manipulacji środkami przekazu nie może służyć dobru społeczeństwa”. Niby to samo, a pomanipulowane.

- * Niepaląca i niepijąca, posiadająca ważne kartki, poszukuje towarzysza życia. Oferty w kiosku 248
- * Wyciszanie konfliktów, także przy użyciu materiałów powłokowych. „Saper”
- * Udaję Greka — krótki kurs przystosowania. Oferty pod „Weteran”
- * Za stare długi nie odpowiadam. „Prezes”

CIWIERKANIE
W „Expressie Ilustrowanym” o działaniu nowej centrali telefonicznej: „Wykreśliwszy wszystkie numery w słuchawce słychać charakterystyczne ciwierkanie”. Wziąwszy do ręki „Zasady poprawnej polszczyzny” widąc charakterystyczny błąd stylistyczny...

TELEPRASÓWKA

mery w słuchawce słychać charakterystyczne ciwierkanie”. Wziąwszy do ręki „Zasady poprawnej polszczyzny” widąc charakterystyczny błąd stylistyczny...

NOWY WÓZ DRZYMAŁY
Z ogłoszeń drobnych: „Samochód osobowy BMW 320 zamienię na mieszkanie własnościowe”. Rodzina się powiększyła i zamierzam osiedlić gdzieś na stałe?

NOMINALNE TRUDNOŚCI
„Nominalnie wprowadzenie reformy w organizm gospodarczy ma nastąpić od 1 stycznia” — usłyszeliśmy w ub. sobotę w Łódzkich Wiadomościach. Dnia... Już po trudnościach, na jakie natknął reporter TV przy formułowaniu zdania, można się zorientować, na jakie trudności napotyka reforma gospodarcza.

PAMIĄTKA Z WAKACJI (nasz konkurs)

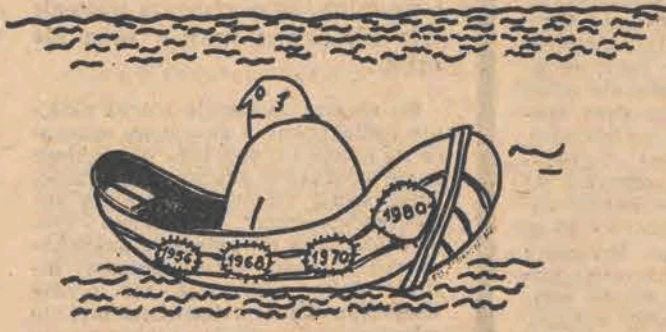
WENDZ KU MIE
BARDZO DOBRY SANDALS NA MECZINY
KOBITA CHILDREN
WSZYSTKIE TYPA WYROBY

Quality handmade leather sandals and accessories
A. Spiliopoulos and Sons
Athens — Greece

WITOME CIE SEDREZNIE
MOZES MIECODNAS KOZUH
DLA RODZYNA I PSJACEL
TANIO

DZIEKUJEM

Martin's of Athens
Factory and shop



Rys. Walerian Domański

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy”: al. A Mickiewicza 11; kod 90—438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680 99, publicysta 677-70. Redakcja nie samowolnych rekapitulacji nie zwraza zastrzeżeń sobie również prawo do skrótków. Informacje o warunkach prenumeraty oddziela oddział RSW „Prasa—Książka—Ruch” i orzedy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 150 zł. Prenumerata ze zniżką dla studentów i pracowników naukowych. Wydatki z prenumeraty nie mogą być używane do celów innych niż te, które zostały przewidziane. NRP 44 oddział w Warszawie nr 1152 201045 139 prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50%, dla zdecydowanych indywidualnych i o 100%, dla zdecydowanych instytucji i zakładów pracy. Wydawnictwo Robotnicze Spółdzielcze „Prasa—Książka—Ruch” Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96; kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łódzi, ul. Armii Czerwonej 28, Nr indeksu 36762. Zam. 1898, K-11.